

JACK LONDON

ZEW KRWI

*Tęsknota za włóczęgą po nocy, po dniu
Jak pies się na łańcuchu przyzwyczajęń miota,
I oto znów się budzi z zimowego snu
Zew zwierzęcy i dziki, co wabi za wrota.*

I. NAWRÓT DO PRYMITYWU

Gdyby Buck czytał gazety, byłby się dowiedział, że nie tylko jemu, ale w ogóle wszystkim silnym, długowłosym psom na przestrzeni od Puget Sound do San Diego zagraża niebezpieczeństwo. A to dlatego, że ludzie, błądząc po omacku w arktycznym mroku, znaleźli żółty metal i że tysiące mężczyzn pośpieszyło gorączkowo na Północ, gdy towarzystwa okrętowe i transportowe rozgłosiły na cały świat o tym odkryciu. Ludziom tym potrzebne były psy — duże psy o silnych mięśniach niezbędnych do pracy i puszystej sierści chroniącej je przed mrozem.

Buck mieszkał w dużym domu położonym w słonecznej dolinie Santa Clara. Była to posiadłość sędziego Millera. Dom stał z dala od drogi na wpół ukryty wśród drzew, poprzez które dostrzec było można szeroką, przewiewną werandę, otaczającą go z czterech stron. Do domu prowadziły zwirowane alejki wijące się wśród rozległych trawników pod splecionymi gałęzmi wysokich topoli.

Część gospodarcza, położona za domem, przedstawiała się jeszcze okazalej. Stały tam ogromne stajnie, gdzie rej wodziło kilkunastu chłopców stajennych, dalej rzędy obrośniętych winem domków dla służby i wiele porządnie utrzymanych zabudowań gospodarczych; na dużej przestrzeni ciągnęły się winnice, zielone pastwiska, sady i zagony truskawek. Dalej znajdowała się studnia artezyjska i duży ocementowany basen, gdzie synowie sędziego zażywali porannej kąpieli i chłodzili się w upalne popołudnia.

A nad całym tym królestwem panował Buck. Tu się urodził i tu spędził cztery lata swego życia. Co prawda były tam jeszcze inne psy. Nie mogło być inaczej w tak wielkim gospodarstwie, ale psy te nie wchodziły w rachubę. Zjawiały się i znikwały, mieszkały w zatłoczonej psiarni lub rezydowały ukryte w zakątkach domu, tak jak Toots, japoński mopsik, czy też Ysabel, bezwłosy meksykańczyk — dziwne stwory, które rzadko wysuwały nos poza dom lub stąpały po gołej ziemi. Ponadto było tam jeszcze co najmniej ze dwadzieścia foksterierów groźnie obszczekujących Tootsa i Ysabel, które pod opieką legionu pokojówek, uzbrojonych w szczotki i miotłki, przyglądały im się przez okno.

Ale Buck nie był ani psem pokojowym, ani podwórzowym. Do niego należało całe królestwo. Pływał w basenie lub polował z synami sędziego, towarzyszył jego córkom, Mollie i Alice, podczas dalekich spacerów o zmroku lub wczesnym rankiem. W długie wieczory zimowe leżał w gabinecie u stóp swego pana, przed ogniem huczącym na kominku. Wnuków sędziego nosił na grzbiecie lub baraszkował z nimi na trawie i strzegł podczas

niebezpiecznych wypraw do studni na podwórzu stajennym, a nawet dalej, aż do okólnika i zagonów truskawek. Buck kroczył dumnie wśród sfory terierów, Tootsa zaś i Ysabel całkowicie ignorował, gdyż był królem — królem wszelkiego" stworzenia. Wszystko, co pełzało, chodziło czy latało w posiadłości sędziego Millera, podlegało mu, nie wyłączając ludzi.

Ojciec jego, Elmo, ogromny bernard, był nieodłącznym towarzyszem sędziego, a Buck wstępował w jego ślady. Buck nie dorównywał wzrostem ojcu — ważył tylko sto czterdzieści funtów, gdyż jego matka, Shep, była szkockim owczarkiem. Mimo to owe sto czterdzieści funtów, a także poczucie własnej godności, które wypływało z dostatniego życia i powszechnego szacunku, pozwalały Buckowi zachowywać się z istic królewskim dostojeństwem. W ciągu tych czterech lat, które upłynęły od jego szczenięctwa, Buck pędził życie sytego arystokraty. Nosił się dumnie i nie był pozbawiony odrobiny egoizmu, jaki cechuje niekiedy właściciele ziemskich, żyjących w odosobnieniu. Nie stał się jednak zwykłym rozpieszczonym psem pokojowym i to go uratowało. Polowanie i temu podobne wiejskie rozrywki nie pozwalały mu obrosnąć tłuszczem i rozwijały mięśnie, a zamięłowanie do wody wzmacniało go i utrzymywało w zdrowiu, tak jak wszystkich zwolenników zimnej kąpieli.

Takim więc psem był Buck jesienią 1897 roku, gdy na wieść o odkryciu złota w Klondike ludzie z całego świata zaczęli ścigać ku mroźnej Północy. Lecz Buck nie czytał gazet, a na domiar złego nie wiedział, że Manuel, jeden z pomocników ogrodnika, jest niepożądaną znajomością. Manuel miał jeden grzeszny nałóg — pasję do chińskiej loterii. Co gorsza, przy hazardzie miał jedną nałogową słabość — wierzył w system, co musiało go doprowadzić do zguby. Gra wedle systemu wymaga pieniędzy, a pensja pomocnika w ogrodzie ledwie wystarcza na utrzymanie żony i liczego potomstwa.

Owego pamiętnego wieczoru zdrady Manuela sędzia był na zebraniu Towarzystwa Producentów Rodzynek, a chłopcy organizowali klub lekkoatletyczny. Nikt nie widział, jak Buck szedł z Manuelem przez sad, myśląc, że idzie sobie na zwykłą przechadzkę. Z wyjątkiem jednego jedyne go człowieka nikt nie widział ich przybycia na małą stacyjkę kolejową zwaną College Park. Człowiek ten zamienił kilka słów z Manuelem, po czym brzęknęły podawane z ręki do ręki pieniądze.

— Trzeba było zapakować towar, zanim go dostarczyłeś — odezwał się ponuro nieznajomy, a wtedy Manuel podwójnie okręcił linką szyję Bucka poniżej obroży.

— Zaciągnij tylko, a zdusisz go z łatwością — powiedział Manuel; nieznajomy mruknął potakująco.

Buck pozwolił założyć sobie linkę ze spokojem i godnością. Niewątpliwie był to niepożądany zabieg, ale pies przyzwyczał się wierzyć znanym sobie ludziom i uznawać, że są mądrzejsi od niego. Gdy jednak końce linki znalazły się w rękach nieznajomego, warknął groźnie. Okazał tylko niezadowolenie, uważając w swej dumie, że okazać je znaczy tyle, do rozkazać. Lecz ku zdumieniu Bucka sznur zacisnął mu się na szyi, pozbawiając go tchu. W nagłym porywie wściekłości skoczył na człowieka, ale ten, nie czekając, chwycił go za gardło i zręcznym ruchem powalił na grzbiet. Sznur zaciskał się bezlitośnie, podczas gdy Buck walczył jak szalony, z wywalonym językiem, ciężko dysząc. Nigdy jeszcze w życiu nie potraktowano go tak niegodziwie i nigdy jeszcze nie był tak wściekły. Lecz opadł z sił, oczy zasły mu mgłą i nie był świadom ani nadejścia pociągu, ani tego, że dwaj złoczyńcy wrzucili go do towarowego wagonu.

Gdy odzyskał przytomność, poczuł, że boli go język i że wiozą go w jakimś wehikule. Ochryply gwizd lokomotywy przed przejazdem wyjaśnił Buckowi, gdzie się znajduje. Tyle razy podróżował z sędzią Millerem, że wrażenie jazdy w wagonie bagażowym było mu dobrze znane.

Otworzył oczy. Rozbłysł w nim niepohamowany gniew porwanego króla. Nieznajomy chciał szybkim ruchem chwycić go za gardło, ale Buck był jeszcze szybszy. Szczęki jego zwarły się na ręce człowieka i nie zwolniły chwytu, dopóki zaciśnięta linka ponownie nie pozbawiła psa przytomności.

— Tak, on ma takie napady — powiedział nieznajomy, ukrywając pokrwawioną rękę przed konduktorem, który nadszedł zwabiony odgłosem walki. — Mój szef kazał go zawieźć do San Francisco. Jakiś nadzwyczajny psi doktor ma go podobno wyleczyć.

O tej nocnej podróży nieznajomy opowiadał długo i szeroko w małej szopie za pewną knajpą w portowej dzielnicy San Francisco.

— Dostanę tylko pięćdziesiątkę — mówił ze złością — a nie podjąłbym się tego po raz drugi za tysiąc żywą gotówką.

Ręce miał owinięte zakrwawioną chustką, prawą zaś nogawkę rozdartą od kostki aż do kolana.

— Ile dostał ten drugi cwaniak? — spytał oberżysta.

— Sto — brzmiała odpowiedź. — Nie chciał wziąć ani grosza mniej, słowo daję.

— To razem sto pięćdziesiąt — obliczał szynkarz. — A pies jest na pewno wart tyle — albo skończony dureń ze mnie.

Złodziej rozwiązał zakrwawioną szmatę i obejrzał pokaleczoną rękę. — Żeby tylko nie dostał wścieklizny...

— Co ma wisieć, nie utonie — roześmiał się szynkarz. — No, pomóż mi teraz, zanim się stąd wyniesiesz.

Oszołomiony, na wpół żywy, z obolałą szyją i językiem, Buck próbował stawić opór dręczycielom. Lecz ci powalili go na ziemię i przy dusili, aby potem spokojnie przepiłować grubą mosiężną obrozę. Po czym zdjęli mu linkę z szyi i wepchnęli go do małej klatki.

Tam przeleżał pozostałe godziny posępnej nocy. Zraniona duma podsycala w nim wściekłość. Nie mógł zrozumieć, co to wszystko znaczy. Czego chcą od niego ci obcy ludzie? Dlaczego trzymają go w tej ciasnej skrzyni? Podświadomie dręczyło go przecucie nadciągającego nieszczęścia. Buck zrywał się kilkakrotnie w ciągu nocy na skrzypnięcie otwieranych drzwi w nadziei, że zobaczy sędziego lub przynajmniej jego synów. Lecz za każdym razem ukazywała się tylko nalana twarz szynkarza, który przyglądał mu się w słabym blasku łojowej świecy. I za każdym razem radosne szczeknięcie zamierało Buckowi w gardle, przeradzając się w groźny pomruk.

Ale szynkarz pozostawił go w spokoju i dopiero z rana zjawili się czterej ludzie, którzy zabrali skrzynię. Nowi dręczyciele— pomyślał Buck. Wygląd tych brudnych i obdartych postaci wzbudził w nim odrazę. Toteż rzucił się z furią na kraty. Ale ludzie śmiali się tylko i drażnili go kijami, które pies chwycił w zęby, dopóki nie zrozumiał, że o to im właśnie chodziło. Wtedy położył się i bez dalszego oporu pozwolił wstawić skrzynię do wagonu. Od tej chwili dla uwięzionego w skrzyni Bucka rozpoczęła się wędrówka z rąk do rąk. O losach jego decydowali teraz urzędnicy kolejowi: z jednego wagonu przeniesiono go do drugiego, potem platforma przewiozła go wraz z ładunkiem skrzynek i paczek na prom parowy, stamtąd wozem dojechał do wielkiej stacji kolejowej i wreszcie znów załadowano go do wagonu pośpiesznych przesyłek.

Przez dwa dni i dwie noce wagon ten ciągnęły przeraźliwie gwizdzące lokomotywy i przez dwa dni i dwie noce Buck nic nie jadł i nic nie pił. Rozgoryczony, groźnym warknięciem odpowiedział na pierwsze przyjazne odruchy obsługi pociągu, za co ludzie odpłacili mu dokuczaniem. Gdy rzucał się na kraty drząc z wściekłości i tocząc pianę, śmiali się z niego i drażnili go. Warczeli i szczekali udając złe psy, miauczeli jak koty i piali jak koguty, uderzając rękami, po bokach. Buck wiedział, że ich zachowanie jest bardzo głupie, ale tym bardziej czuł się urażony w swojej dumie i tym gwałtowniejszy wzbierał w nim gniew. Głodu nie odczuwał tak dotkliwie, ale pragnienie dręczyło go okrutnie i wzmagało wściekłość. Nic dziwnego więc, że wrażliwy i nerwowy pies dostał na skutek złego traktowania gorączki, którą potęgowało zapalenie wyschniętego i spuchniętego gardła i języka.

Jedna rzecz go cieszyła: zdjęto mu linkę z szyi. Linka ta dawała jego oprawcom niesprawiedliwą przewagę, ale za to teraz im pokaże. Nigdy nie zdołają mu jej po raz drugi założyć. Buck przyrzekł to sobie. Przez dwa dni i dwie noce nic nie jadł ani nie pił i podczas tych dwóch dni i nocy męczarni nagromadził się w nim ogrom wściekłości, która nie wróżyła nic dobrego temu, kto by go pierwszy zaatakował. Oczy nabiegły mu krwią, przeistoczył się w rozjuszoną bestię. Tak się zmienił, że sam sędzia by go nie poznał. A obsługa kolejowa odetchnęła z ulgą, gdy w Seattle wylądowano go z pociągu.

Czterej ludzie ostrożnie przenieśli skrzynię z wozu na jakieś małe podwórko otoczone wysokim murem. Po chwili zjawił się tam barczysty mężczyzna w czerwonym swetrze mocno rozciągniętym przy szyi i pokwitował w książce woźnicy odbiór przesyłki. Oto nowy oprawca — pomyślał Buck i rzucił się dziko na kraty skrzyni. Człowiek uśmiechnął się ponuro i poszedł po siekierę i pałkę.

— Chyba go teraz nie wypuścisz? — zapytał woźnica.

— Dlaczego nie — odpowiedział człowiek w czerwonym swetrze, podważając siekierą deski skrzyni.

W okamgnieniu wszyscy czterej tragarze rzucili się do ucieczki i usadowili bezpiecznie na murze, aby stamtąd przyglądać się widowisku.

Buck chwycił zębami trzaskające deski, szarpał i mocował się z nimi. Gdzie tylko wbijała się siekiera, tam od wewnątrz pojawiał się natychmiast pysk groźnie warczącego psa. Furia, z jaką pragnął się wydostać, dorównywała zimnej zaciętości, z jaką człowiek w czerwonym swetrze pracował nad uwolnieniem go ze skrzyni.

— Wyłaż, czerwonoooki diable — powiedział, wyrąbawszy otwór dostatecznie duży, aby Buck mógł się przez niego precyzyjnie. Jednocześnie rzucił siekierę na ziemię, przekładając pałkę do prawej ręki.

Buck wyglądał istotnie jak czerwonoooki diabeł, gdy naprężył się do skoku, z najeżoną sierścią, z pianą na pysku, ze wściekłym błyskiem w nalanych krwią oczach. Nagle rzucił się na człowieka całym ciężarem swych stu czterdziestu funtów, naładowany wściekłością gromadzoną w ciągu dwóch dni i nocy. W chwili skoku, gdy jego szczęki już, już miały się zacisnąć na ręce człowieka, otrzymał straszliwy cios. Zawisnął jak gdyby w powietrzu, przejmujący ból zwał mu szczęki, wreszcie zwał się na ziemię padając na grzbiet. Nigdy jeszcze nie został uderzony pałką, nie mógł więc zrozumieć, co się stało. Z pomrukiem, w którym więcej było jęku niż gniewu, zerwał się znowu do skoku. I znowu otrzymał cios, który bezlitośnie zwał go z nóg. Teraz wiedział, co to znaczy pałka, lecz wściekłość przeważała nad ostrożnością. Raz po raz atakował i za każdym razem padał pod ciosem pałki.

Po jednym szczególnie mocnym uderzeniu Buck podźwignął się z trudem, zbyt ogłuszony, aby dalej walczyć. Chwiały się osłabły, krew ciekła mu z nosa, pyska i uszu, całe jego piękne futro spryskane było krwawą śliną. Wtedy człowiek podszedł bliżej i z przerażającą siłą uderzył go w nos. Wszystkie dotychczasowe cierpienia wydały się Buckowi niczym w porównaniu z tym potwornym bólem; ze strasliwym, nieomal lwim rykiem pies skoczył ponownie na swego oprawcę. Lecz ten, przerzuciwszy pałkę z prawej ręki do lewej, spokojnie chwycił psa za dolną szczękę i mocno szarpnął najpierw w dół, potem w górę. Buck zatoczył koło w powietrzu, potem półkole i zwałił się na piach.

Po raz ostatni zaatakował. Lecz człowiek przyjął go najpotężniejszym ciosem, rozmyślnie zachowanym na ostatek. Pies zwinął się w skoku i padł bez czucia.

— Co, nie mówiłem, że tresuje psy jak złoto? — zawołał entuzjastycznie jeden z widzów siedzących na murze.

— Taką zabawę lubi mieć co dzień, a dwa razy przy święcie — odpowiedział woźnica włączając na wóz i zacinając konie.

Buck odzyskał przytomność, ale nie odzyskał sił. Leżał tam, gdzie padł, patrząc na człowieka w czerwonym swetrze. — Nazywa się Buck — mówił do siebie mężczyzna, odczytując list szynkarza, który donosił o wysłaniu skrzyni i jej zawartości. — No cóż, Bucku, mój zuchu — ciągnął dalej dobroncznym tonem — mieliśmy małą potyczkę i najlepiej zrobimy, jeśli na tym poprzestaniemy. Teraz już wiesz, jak się masz zachowywać, a ja wiem, co ty za jeden. Jeśli będziesz dobrym pieskiem, to wszystko w porządku — będziemy żyli w zgodzie. Inaczej zatłukę cię na śmierć. Zrozumiałeś?

Mówiąc to, odważnie głaskał łeb, który tak bezlitośnie przed chwilą katował, a choć sierść Bucka zjeżyła się mimo woli pod dotykiem tej ręki, znosił pieszczotę bez sprzeciwu. Gdy mężczyzna przyniósł mu wody, pies wypił chciwie, a później pożarł ogromną porcję surowego mięsa, biorąc kęs po kęsie z ręki człowieka.

Został zwyciężony (wiedział o tym), ale nie został złamany. Zrozumiał raz na zawsze, że nie ma żadnych widoków zwycięstwa w walce z człowiekiem uzbrojonym w pałkę. Dostał nauczkę i nie zapomniał jej do końca życia. Pałka stała się dla niego objawieniem. Było to jego pierwsze zetknięcie z panowaniem prawa pięści i prawo to uznał. Przyszłość ukazywała mu się w groźnym świetle, a chociaż patrzył w życie nieustraszenie, postanowił stawić mu czoło z całą dotąd uszpanowaną, a teraz zbudzoną chytryością swojej pierwotnej natury.

Mijał dzień za dniem i coraz to przybywały inne psy, w skrzyniach lub prowadzone na linach, niektóre łagodne, inne szalejące i warczące, tak jak kiedyś Buck. Widział, jak wszystkie psy bez wyjątku poddawały się władzy człowieka w czerwonym swetrze. Za

każdym razem, gdy patrzył na nowe brutalne widowisko, nauczka utrwałała mu się coraz lepiej w pamięci: człowiek z pałką w ręku jest prawodawcą, jest panem, którego należy słuchać, ale przed którym niekoniecznie należy się upokarzać. Buck nigdy się tym nie splamił, chociaż widział, jak inne zbite psy łąsiły się do człowieka, machając ogonami i liżąc mu rękę. Ale widział też psa, który nie chciał się ani upokorzyć, ani usłuchać, toteż zabity został w walce o przewagę.

Co pewien czas zjawiali się obcy ludzie, których rozmowy z człowiekiem w czerwonym swetrze przybierały różne tony — to podniecenia, to unізoności. A w przypadku, gdy na zakończenie rozmowy pieniądze przechodziły z rąk do rąk, przybysze zabierali ze sobą jednego lub kilka psów. Buck zastanawiał się, gdzie one znikają, bo już nigdy nie zjawiały się z powrotem. Lecz lęk przed przyszłością był tak silny, że Buck cieszył się za każdym razem, gdy wybór nie padał na niego.

Wreszcie jednak i na niego przyszła kolej. O losie Bucka zdecydował mały, zasuszony człowieczek, który mówił łamaną angielszczyzną i używał wielu dziwnych ordynarnych i niezrozumiałych wyrazów.

— Sacredam! — zawołał ujrzawszy Bucka. — Co za cholernie byczy pies! Ha! Ile?

— Trzysta, a i to jest darmo — szybko odpowiedział człowiek w czerwonym swetrze. — Masz przecie rządowe pieniądze, więc nie będziesz się chyba targował, co, Perrault?

Perrault uśmiechnął się. Biorąc pod uwagę szaloną zwyczajną cenę na psy wskutek nienasyconego popytu, była to niezbyt wygórowana suma za tak piękne zwierzę. Rząd kanadyjski nie straci na tej transakcji ani szybkość poczty rządowej na tym nie ucierpi. — Perrault znał się na psach i gdy tylko spojrzął na Bucka, poznał, że taki okaz zdarza się jeden na tysiąc. „Jeden na dziesięć tysięcy” — dodał w myśli.

Buck zobaczył, że pieniądze przeszły z rąk do rąk i wcale się nie zdziwił, gdy mały, zasuszony człowieczek zabrał go ze sobą wraz z Curly, dobroduszną nowofunlandką. Wtedy po raz ostatni widział mężczyznę w czerwonym swetrze; a gdy razem z Curly patrzyli z pokładu „Narwala” na oddalające się miasto Seattle, po raz ostatni widział ciepłe południe.

Perrault zabrał Curly i Bucka pod pokład i oddał pod opiekę olbrzymowi o ciemnej twarzy, imieniem François. Perrault był kanadyjskim Francuzem i miał śniadą cerę, ale François był Metysem o francusko-kanadyjskiej krwi i miał skórę znacznie ciemniejszą. Obaj należeli do typu ludzi nie znanych jeszcze Buckowi (miał w przyszłości poznać ich znacznie więcej) i chociaż nie darzył ich nigdy miłością, niemniej jednak nauczył się ich szanować. Zrozumiał szybko, że Perrault i François wymierzają sprawiedliwość uczciwie, spokojnie i bezstronnie oraz że za dobrze znają naturę psów, aby dać się im oszukać.

Pod pokładem „Narwala” Buck i Curly poznali jeszcze dwa psy. Jednym z nowych towarzyszy było wielkie, śnieżnobiałe zwierzę ze Szpicbergen. Przywieziony przez jakiegoś kapitana statku wielorybniczego, Szpic brał już poprzednio udział w wyprawie geologicznej w tundry północnej Kanady.

Był przyjacielski, ale zdradliwy — uśmiechał się w oczy, knując jednocześnie podstęp, jak na przykład, gdy podczas pierwszego posiłku ukraść Buckowi kość. Gdy Buck skoczył, by go ukarać, bat François świsnął w powietrzu, wcześniej dosięgając złodzieja. A Buckowi nie pozostało nic innego, jak tylko podnieść porzuconą kość. Buck uznał, iż François postąpił sprawiedliwie, i od tej chwili zaczął rosnać jego szacunek dla Metysa.

Drugi z nowych towarzyszy ani nie przejawiał życzliwości, ani jej dla siebie nie żądał. Nie próbował także okradać nowoprzybyłych. Był to ponury, zgryźliwy osobnik, który wyraźnie dał Curly do zrozumienia, że życzy sobie, aby go pozostawiono w spokoju, bo w przeciwnym razie będzie źle. Nazywał się Dave i tylko jadł, spał, w przerwach ziewał, i nic go w ogóle nie obchodziło, nawet to, że „Narwal”, płynąc przez cieśninę Queen Charlotte, zaczął się kołysać, chwiać z boku na bok i podskakiwać na falach jak opętany. Gdy Buck i Curly denerwowali się, półprzytomni ze strachu, Dave podniósł głowę jakby znudzony, zaszczylił ich obojętnym spojrzeniem, ziewnął i znowu zapadł w sen.

Dzień i noc statek dygotał w takt niezmordowanego terkotu śruby i chociaż jeden dzień nie różnił się niczym od drugiego, Buck zauważył, że robi się coraz zimniej. Wreszcie pewnego ranka śruba umilkła i na „Narwalu” zapanował nastrój pełen podniecenia. Buck odczuł to, podobnie jak inne psy, i poczuł, że wkrótce nastąpi jakaś zmiana. François wziął je wszystkie na smycz i wyprowadził na pokład. Przy pierwszym kroku na zimnej powierzchni pokładu łapy Bucka zagłębiły się w coś białego i puszystego, podobnego do błota. Odskoczył z warknięciem. Z góry także padało coś białego. Otrząsnął się, ale po chwili biały puch pokrył go znowu. Powąchał to coś z ciekawością, a potem polizał. Zapiekło jak ogień i w jednej sekundzie zniknęło. To go zadziwiło. Spróbował jeszcze raz, znowu z tym samym skutkiem. Ludzie wybuchnęli śmiechem, a Buck zawstydził się, sam nie wiedząc czemu. Po raz pierwszy zobaczył śnieg.

II. PRAWO PIĘŚCI I KŁÓW

Pierwszy dzień pobytu na brzegu zatoki Dyea wydawał się Buckowi koszmarem. Każda godzina pełna była wstrząsów i niespodzianek. Wyrwany z samego serca cywilizacji, znalazł się nagle w samym środku dzikości. Nie było to już leniwe, rozsloneczone życie, na które składały się próżniactwo i nuda. Nie znano tu ani spokoju, ani odpoczynku, nie znano co to choćby krótka chwila bez lęku. Panował zamęt i nieustanny ruch, a życiu ciągle zagrażało niebezpieczeństwo. Należało się mieć stale na baczności, gdyż zarówno psy, jak ludzie nie byli psami i ludźmi z miasta. Były to wszystko bez wyjątku rozbastwione istoty, nie uznające innego prawa, jak prawo pięści i kłów.

Buck nigdy nie widział psów walczących ze sobą tak, jak walczyły te dzikie bestie, i pierwsze doświadczenie stało się dla niego niezapomnianą lekcją. Co prawda doświadczenia tego nie zdobył własnym kosztem, gdyż wówczas nie pozostałby przy życiu, aby z tej nauki korzystać. Ofiarą padła Curly. Obóz znajdował się wtedy koło składu drzewa. Curly swoim zwyczajem zbliżyła się przyjaźnie do jednego z psów husky, wielkości dorosłego wilka, choć znacznie mniejszego od niej. Bez żadnego ostrzeżenia nastąpił błyskawiczny skok, głucho kłapanięcie zębami, równie szybki odskok i skóra na łbie Curly została rozdarta od oka aż po szczękę.

Był to wilczy sposób walki — zadać cios i odskoczyć; ale na tym się nie skończyło. Ze czterdzieści husky zbiegło się ze wszystkich stron i otoczyło walczących zwartym kołem, stojąc w pełnym napięcia milczeniu. Buck nie rozumiał tego milczącego napięcia ani chciwego oblizywania się patrzących. Curly rzuciła się na przeciwnika, który ponownie szarpnął ją zębami i odskoczył w bok. Następny jej atak odbił w przedziwny sposób pierśią, zwalając ją z nóg. Curly już więcej nie wstała. Na to właśnie czekały przyglądające się psy. Rzuciły się na nią warcząc i skowycząc, a wyjąca z bólu Curly zniknęła pod skłębioną masą ciał.

Wszystko stało się tak nagle i niespodziewanie, że Buck osłupiał.

Widział, że Szpic wywalił czerwony jęzor w sposób, który u niego oznaczał śmiech. Widział też, jak François, wymachując siekierą, skoczył w sam środek kłębówiska. Trzech ludzi z kijami pomagało mu rozpędzić psy. Nie trwało to długo. Zaledwie kilka minut minęło od upadku Curly, gdy ostatni z napastników został odpędzony. Lecz Curly leżała bezwładna, nieżywa, na skrwawionym, stratowanym śniegu, niemal dosłownie rozdarta na strzępy, a śniady Metys stał nad nią miotając przekleństwa. Obraz ten często nawiedzał Bucka w snach.

A więc tak się to odbywa! Nieczysta gra. Upadniesz i już po tobie. Cóż, trzeba będzie uważać, żeby nigdy nie upaść. Szpic wywalił jęzor i zaśmiał się znowu, i od tej chwili Buck zapalał do niego zajadłą, śmiertelną nienawiścią.

Zanim zdołał się uspokoić po wstrząsie spowodowanym tragiczną śmiercią Curly, Buck przeżył nowy wstrząs. François włożył na niego jakąś kombinację pasków i klamer. Było to podobne do uprzęży, którą w domu sędziego chłopcy stajenni nakładali na konie. Buck musiał teraz pracować, tak jak pracowały konie, ciągnąć François na saniach do lasu otaczającego dolinę i wracać z ładunkiem drzewa na opał. Chociaż boleśnie dotknięty w swej godności rolą zwierzęcia pociągowego, za mądry był, żeby się buntować.

Z energią zabrał się do pracy i starał się jak mógł, chociaż wszystko to było dla niego nowe i dziwne. François był surowy, wymagał natychmiastowego posłuszeństwa i osiągał je za pomocą bata. Dave, doświadczony dyszlowy, chwycił Bucka zębami za tylne łapy, ilekroć ten popełnił błąd. Szpic, nie mniej doświadczony przodownik, prowadził zaprzęg i chociaż nie zawsze mógł dosięgnąć Bucka, ostro karciał go od czasu do czasu warczeniem lub sprytnie przerzucał ciężar ciała w uprzęży, szarpiąc przy tym Bucka w odpowiednim kierunku. Buck był bardzo pojętny i pod wskazówkami swoich towarzyszy i François robił ogromne postępy. Zanim powrócili do obozu, umiał już zatrzymywać się na „stój” i ruszać na „idź”, zataczać szeroki łuk na zakrętach i nie przeszkadzać dyszlowemu, gdy załadowane sanie najeżdżały na nich, pędząc z góry.

— Trzy bardzo dobre psy — powiedział François do Perrault. — Ten Buck ciągnie jak szatan. W mig go nauczyłem.

Po południu Perrault, któremu pilno było wyruszyć w drogą z pocztą, zjawił się z dwoma nowymi psami. Nazywał je Billy i Joe. Byli to dwaj bracia, oba prawdziwe husky. Chociaż z jednej matki, różnili się od siebie jak dzień od nocy. Jediną wadą Billego była zbyt dobra dobroduszość. Natomiast Joe, wprost przeciwnie, był zgorzkniały i zamknięty w sobie, miał złośliwe spojrzenie i warczał przy lada okazji. Buck powitał nowe psy przyjaźnie. Dave zignorował je zupełnie, a Szpic postanowił dać nauczki najpierw jednemu, potem drugiemu. Billy pomachał pojednawczo ogonem, a później, widząc, że z pojednania nic nie będzie, rzucił się do ucieczki i skomlał (wciąż jeszcze pojednawczo), gdy ostre zęby Szpica rozdarły mu bok. Ale Joe nie dał się zaskoczyć. Szpic usiłował go podejść, lecz wszelkie jego próby spełzały na niczym, gdyż Joe błyskawicznie odwracał się do niego przodem, z najeżoną sierścią, położonymi po sobie uszami, obnażonymi kłami, warcząc, kłapiąc zębami, z szatańskim błyskiem w oczach — uosobienie desperackiej odwagi. Tak przerażający był ten widok, że Szpic musiał zrezygnować z próby podporządkowania go sobie. Ale chcąc pokryć

niepowodzenie, rzucił się na nieszkodliwego i skomlącego Billa i przepędził go aż na koniec obozu.

Wieczorem Perrault przyprowadził jeszcze jednego psa. Był to stary husky, długi, chudy, wycieńczony, z bliznami na pysku świadczącymi o licznych walkach. Miał tylko jedno oko, z którego groźnie wзираło męstwo nakazujące szacunek. Nazywał się Sol-leks, co oznacza „Ten Gniewny”. Podobnie jak Dave, nie żądał niczego, nic z siebie nie dawał i niczego nie oczekiwał. A gdy wkroczył powoli i godnie do ich kręgu, nawet Szpic pozostawił go w spokoju. Miał jedno dziwactwo, które Buck odkrył na swoje nieszczęście. Nie mógł ścierpieć, gdy zbliżano się do niego od strony oka, na które nie widział. Buck niechcący popełnił ten błąd i po raz pierwszy zrozumiał, jak niewłaściwe było jego zachowanie, kiedy Sol-leks rzucił się na niego i rozdarł mu łopatkę, pozostawiając ranę długą na trzy cale. Od tej pory Buck unikał podchodzenia do Sol-leksa z niewłaściwej strony i nigdy więcej nie doznał od niego przykrości. Wydawało się, że podobnie jak Dave pragnie on jedynie, by go pozostawiono w spokoju. Chociaż, jak z czasem Buck miał się o tym przekonać, każdy z nich posiadał jeszcze inną, i to znacznie istotniejszą ambicję.

Tego wieczora Buck stanął wobec wielkiego zagadnienia: jak przebyć noc. Namiot oświetlony świecą wabił ciepłem wśród białego pustkowia. Lecz gdy Buck, uważając to za rzecz naturalną, wszedł do środka, zarówno Perrault jak i François obsypali go przekleństwami i jęli rzucać weń naczynia kuchenne, dopóki ochłonawszy ze zdumienia nie uciekł sromotnie w mroźną noc. Zimny wiatr przeszywał go na wskroś i ze szczególną zjadliwością wgryzał się w świeżą ranę. Buck położył się na śniegu drżąc cały i próbował zasnąć, ale mróz szybko poderwał go na nogi. Zrozpaczony i bezradny wędrował pośród licznych namiotów, ale wszędzie było tak samo zimno. Tu i ówdzie napadały na niego obce psy, lecz Buck jeżył wówczas sierść na karku warcząc groźnie (gdyż uczył się szybko) i napastnicy ustępowali mu z drogi.

Wreszcie wpadł na pomysł: wróci i zobaczy, jak sobie poradzili jego towarzysze z zaprzęgu. Przekonał się ze zdziwieniem, że wszyscy znikli. Znowu przewędrował cały wielki obóz szukając ich i znowu powrócił w pobliże namiotu. Czyżby byli w namiocie? Nie, to niemożliwe, to w takim razie nie wypędzono by jego. Więc gdzie mogli się podziać? Z opuszczonym ogonem, drżąc na całym ciele, bardzo samotny i zagubiony krążył dokoła namiotu. Nagle śnieg osunął mu się spod przednich łap i Buck zapadł się w dół. Coś poruszyło się pod nim. Odskoczył, warcząc, z sierścią zjeżoną ze strachu przed czymś niewidzialnym i nieznanym. Lecz uspokojony cichutkim, przyjaznym szczeknięciem powrócił, aby sprawdzić, co to było. Powiew ciepłego powietrza uderzył go w nozdrza — a

tam, pod śniegiem, zwinięty w kłębek leżał Billy. Zaskomlał pojednawczo, pokręcił się przymilnie, aby wykazać swą życzliwość i dobre chęci, a nawet odważył się, na znak zgody, polizać pysk Bucka ciepłym, wilgotnym językiem.

Nowa lekcja. A więc to tak sobie radzili! Nie zastanawiając się dłużej, Buck wybrał odpowiednie miejsce, po czym z wielkim przejęciem i niepotrzebnym wysiłkiem wygrzebał dołek. W okamgnieniu ogrzał go swoim ciałem i nareszcie zasnął. Dzień był długi i męczący, toteż Buck spał mocno i smacznie, chociaż od czasu do czasu warczał i szczekał, dręczony złymi snami.

Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy usłyszał odgłosy budzącego się obozowiska. Z początku nie wiedział, gdzie się znajduje. W nocy padał śnieg i zasypał go całkowicie. Zwały śniegu uciskały go ze wszystkich stron. Ogarnął go strach — przemożny strach dzikiego stworzenia przed pułapką. Był to znak, że życie jego zaczyna iść śladem dawnych przodków, był bowiem cywilizowanym psem, nawet zanadto cywilizowanym, i nie znając z własnego doświadczenia pułapki, nie mógł się jej przecież obawiać. Wszystkie mięśnie skurczyły mu się odruchowo, sierść zjeżyła na grzbiecie; z groźnym warknięciem wyskoczył wprost w oślepiające światło dnia, wzbijając dookoła iskrzący się obłok śniegu. Zanim jeszcze wylądował na ziemi, ujrzał biały obóz rozpościerający się przed nim i wtedy zrozumiał, gdzie się znajduje. Przypomniał sobie wszystko, co zaszło od chwili przechadzki z Manuelem aż do wygrzebania legowiska poprzedniego wieczoru.

Powitał go okrzyk François.

— A co, nie mówiłem? — zawołał Metys do Perrault. — Ten Buck uczy się piorunem.

Perrault poważnie skinął głową. Jako kurierowi rządu kanadyjskiego, wiozącemu ważną pocztę, zależało mu na zdobyciu najlepszych psów i był bardzo zadowolony z posiadania Bucka.

W ciągu godziny trzy nowe husky przybyły do obozu. Było teraz razem dziewięć psów. Zanim upłynął kwadrans, wszystkie zostały zaprzężone i podążyły szlakiem ku kanionowi Dyea. Buck cieszył się, że już ruszyli, i chociaż praca była ciężka, spełniał ją bez szczególnej przykrości. Zdziwiło go podniecenie, ożywiające cały zaprzęg, które z kolei udzieliło się i jemu. Lecz jeszcze bardziej zadziwiająca wydała mu się przemiana, jaka zaszła w Davie i Sol-leksie. Były to inne psy, całkowicie zmienione z chwilą, gdy znalazły się w zaprzęgu. Opadła z nich bierność i obojętność. Stały się czujne i czynne; przejęte swoją pracą, irytowały się niepomierne, gdy najmniejsze opóźnienie czy zamieszanie utrudniało ją. Ciężki trud w zaprzęgu zdawał się być najwyższym sensem ich istnienia, celem życia i jedyną rzeczą, która sprawiała im zadowolenie.

Dave był dyszlowym, czyli pierwszym psem przy saniach, przed nim był Buck, następnie Sol-leks, dalej szła reszta, również zaprzęzona pojedynczo, aż do przodownika, którego godność piastował Szpic.

Buck został umieszczony między Dave'em i Sol-leksem, aby mógł korzystać z ich nauk. Buck był równie pojętym uczniem, jak tamci dwaj dobrymi nauczycielami; nigdy nie pozwalali mu popełniać błędów, wspomagając swe nauki ostrymi zębami. Dave był sprawiedliwy i bardzo mądry. Nigdy nie gryzł Bucka bez powodu i nigdy nie omieszkwał ugryźć go, gdy na to zasłużył. A ponieważ bat François wspierał nauki Dave'a, Buck doszedł do przekonania, że lepiej być posłusznym niż szukać odwetu. Pewnego razu, podczas krótkiego postoju, zaplątał się w uprzęż i opóźnił odjazd. Dave i Sol-leks rzucili się na niego i wymierzili mu surową karę. Wskutek tego uprzęż poplątała się jeszcze bardziej; od tej pory Buck pilnie uważał, żeby się to więcej nie zdarzyło. I zanim upłynął dzień, tak dobrze przewyciężył wszystkie trudności, że towarzysze prawie mu już nie dokuczali, bat François ciął coraz rzadziej, a nawet Perrault zaszczyił Bucka starannym przeglądem jego łap.

Był to ciężki etap szlaku, gdyż droga wiodła w górę kanionu przez Owczy Obóz, ponad Scales i linię zasięgu drzew, poprzez lodowce i zasypane śnieżne na setki stóp głębokie i przez wielkie pasmo gór, zwane Chilcoat Divide, które rozdziela słone i słodkie wody oraz groźnie strzeże smutnej i pustej Północy. Szybko przebyli szlak biegnący w dół, wzdłuż łańcucha jezior wypełniających wygasłe kraterki wulkanów, i późnym wieczorem dotarli do ogromnego obozu nad jeziorem Bennett, gdzie tysiące poszukiwaczy złota budowało łodzie, czekając, aż lody ruszą z wiosną.

Buck wyrył sobie legowisko w śniegu i wyczerpany usnął snem sprawiedliwego, lecz zbyt wcześnie zerwano go w mroźnych ciemnościach i zaprzęcono' wraz z towarzyszami do sań.

Tego dnia zrobili czterdzieści mil, ponieważ szlak był już przetarty. Ale nazajutrz i przez wiele następnych dni musieli w ciężkim trudzie sami przecierać ślad i przez to wolniej posuwali się naprzód. Zazwyczaj Perrault szedł przed zaprzęgiem, ubijając trasę śnieżnymi rakietami, aby ułatwić psom drogę. François przy hamowidle kierował saniami, rzadko zmieniając się z Perrault. Kurierowi zależało na pośpiechu, chlubił się przy tym swoją znajomością lodu wprost nieodzowną w tych warunkach, gdyż jesienny lód był bardzo cienki, a gdzie rwał silniejszy prąd, nie było go wcale.

Dzień po dniu, przez wiele, wiele dni, Buck ciężko pracował w zaprzęgu. Zawsze rozbijano obóz po ciemku, a o szarym świcie byli już w drodze, mając kilka świeżo przebytych mil za sobą. I znowu zatrzymywano się o zmierzchu, psy zjadały swoją porcję

ryby i zagrzebywały się w śniegu. Buck stał się niezwykle żarłoczny. Jego dzienna porcja, wynosząca półtora funta suszonego na słońcu łososia, wydawała się niczym. Nigdy nie miał dość i cierpiał ustawiczny głód. Tymczasem inne psy, ważące mniej i nawykłe do tych warunków życia, utrzymywały się w dobrej formie, chociaż dostawały tylko funt ryby.

Buck szybko stracił wybredność cechującą jego dawne życie. Zawsze jadł powoli, ale teraz przekonał się, że współtowarzysze po skończeniu swoich ryb zabierają się do jego porcji. Przeciwno temu nie mógł się obronić. Podczas gdy zajęty był odpędzaniem dwóch lub trzech psów, ryby znikwały w gardzielach pozostałych kompanów. Aby temu zaradzić, zaczął jeść równie szybko jak tamci. A ponieważ głód dokuczał mu silnie, nie pogardzał i cudzą własnością. Przyglądał się i uczył. Gdy Buck zobaczył, jak Pike, jeden z nowych psów, chytry symulant i złodziej, podstępnie ukradł kawałek słoniny za plecami Perrault, następnego dnia poszedł za jego przykładem i umknął z całym pościem. Podniósł się wielki gwałt, ale na Bucka nie padło podejrzenie. Za to niezdarny Dub, którego wiecznie przyłapywano na gorącym uczynku, został ukarany za cudze przewinienie.

Ta pierwsza kradzież dowiodła, że Buck da sobie radę w nieprzyjaznym środowisku groźnej Północy. Dowiodła, że ma zdolność przystosowywania się do zmiennych warunków życia, w których nieprzystosowanie oznacza szybką i straszną śmierć. Dowiodła dalej rozkładu i całkowitego upadku jego zasad moralnych, rzeczy czcnych i stanowiących przeszkodę w bezwzględnej walce o byt. Szanować własność prywatną i uczucia przyjaźni to było dobre na Południu, gdzie panowało prawo miłości i braterstwa. Ale na Północy, gdzie panuje prawo pięści i kłów, ten, kto wyznaje takie zasady, jest głupcem, a jeżeli ich przestrzega, nigdy nie osiągnie powodzenia.

Do tego Buck nie doszedł drogą rozumowania. Po prostu był pełen żywotności i podświadomie przystosowywał się do nowych warunków życia. Nigdy jeszcze, bez względu na posiadane szansę, nie uchylił się od walki. Lecz pałka człowieka w czerwonym swetrze wpoila mu bardziej istotny i prymitywny sposób postępowania. Jako pies cywilizowany, gotów był zginąć w obronie pewnych zasad moralnych, powiedzmy w obronie szpicruty sędziego Millera. Obecnie zaś całkowite wyzbycie się cywilizacji w tym się przejawiało, że dla ratowania własnej skóry potrafił poniechać obrony zasad moralnych. Nie kradł dla przyjemności, ale ponieważ domagał się tego żołądek. Nie rabował otwarcie, lecz kradł chytrze i po kryjomu, w obawie pałki i kłów. Krótko mówiąc, robił to wszystko, gdyż łatwiej było to robić niż się od tego powstrzymać.

Rozwój (lub też nawrót do prymitywu) Bucka był szybki. Mięśnie miał teraz twarde jak żelazo, stał się odporny na ból. Osiągnął najwyższą umiejętność oszczędzania energii i

wysiłku. Mógł jeść wszystko, choćby nawet odrażające i ciężko strawne odpadki, jego soki żołądkowe wydobywały z takiej stawy wszystkie wartości odżywcze, a krew roznosiła je po całym ciele, przekształcając w najtwardsze i najmocniejsze tkanki. Wzrok i węch wyostrzyły mu się niezwykle, a słuch stał się tak doskonały, że Buck we śnie słyszał najlżejszy szmer i wiedział, czy zwiastuje on spokój czy niebezpieczeństwo.

Nauczył się wygryzać zębami lód, który wbijał mu się między pazury. Gdy chciało mu się pić, a przerębła pokryta była skorupą lodu, rozbijał ją, uderzając mocno przednimi łapami. Najbardziej zdumiewającą cechą Bucka była umiejętność przeczuwania wiatru o całą noc wcześniej. Choćby powietrze było zupełnie nieruchome, gdy kopał sobie legowisko pod drzewem lub pagórką, wiatr, który zrywał się później, zastawał go zawsze w zacisznym, dobrze osłoniętym miejscu.

I nie tylko uczyło go doświadczenie, ale także od dawna uśpione instynkty ożywały na nowo. Stopniowo opadały z niego naleciałości oswojonych pokoleń. Bezwiednie nawracał do okresu młodości swojej rasy, kiedy to dzikie psy stadami przebiegały odwieczne puszcze, polując na zwierzynę. Bez trudu nauczył się walczyć w sposób charakterystyczny dla wilków, niespodziewanie zadając szybkie ciosy. Tak walczyli jego przodkowie. Teraz dzięki nim przyswajał sobie szybciej dawny sposób życia i chwycił się dawnych forteli, które weszły dziedzicznie w krew jego rasy. Przychodziło mu to bez wysiłku, było dla niego (przyrodzone i naturalne. A gdy podczas cichych, mroźnych nocy wznosił pysk ku księżycowi i wyl przeciągle jak wilk — dawno zmarli przodkowie odzywali się w nim poprzez minione stulecia. Głos Bucka wznosił się i opadał rytmicznie, tak jak ongiś ich głosy, i tak samo pełen był żalości i tego, czym dla wilka jest cisza i mróz, i ciemność.

Tak więc kaprys losu zrządził, że odwieczna pieśń rozbrzmiewała w nim na nowo, że powrócił do swej pierwotnej natury. A powrócił dlatego, że ludzie znaleźli żółty metal na Północy, i dlatego, że Manuelowi, pomocnikowi ogrodnika, pensja nie wystarczała na utrzymanie żony i licznych małych Manuelątek.

III. ZWYCIĘSTWO PIERWOTNEJ BESTII

Cechy pierwotnej bestii przejawiały się silnie u Bucka, a w ciężkich warunkach życia na szlaku stawały się coraz bardziej dominujące. Był to jednak rozwój utajony. Nowonarodzona chytrość nakazywała mu spokój i opanowanie. Był tak przejęty przystosowywaniem się do nowego życia, że nie czuł się jeszcze swobodnie i nie tylko nie szukał walki, ale jej w miarę możliwości unikał. Jego zachowanie cechowała rozwaga. Nie był porywczy i nie działał pochopnie. W swej gorącej nienawiści do Szpica nie okazywał zniecierpliwienia i unikał wszelkich zaczepnych kroków.

Natomiast Szpic, przeczuwając zapewne w Bucku groźnego rywala, nigdy nie omieszkął go zaczepić. Starał się wszelkimi sposobami rozdrażnić Bucka, dążąc do wywołania walki, która mogła skończyć się tylko śmiercią jednego z nich.

Doszłoby do tego już na początku podróży, gdyby nie pewne niezwykle wydarzenie. Tego wieczoru zatrzymali się w nie osłoniętym ponurym miejscu nad brzegiem jeziora Le Barge. Zadymka śnieżna, wichur tnący jak nóż i ciemna noc zmusiły ich do szukania po omacku miejsca pod obóz. Trudno było trafić gorzej. Z tyłu wznosiła się prostopadła ściana skalna, toteż Perrault i François musieli rozpalić ognisko i rozłożyć śpiwory na zamrzniętym jeziorze. Namiot pozostawili w Dyea, aby mieć jak najmniej rzeczy. Ognisko, rozpalone z kawałków drewna wyrzuconych na brzeg przez fale, roztopiło lód i zniknęło w wodzie, pozostawiając ich w ciemnościach przy wieczery.

Buck wykopał sobie legowisko tuż przy osłaniającej od wiatru skale. Było tam tak ciepło i przytulnie, że niechętnie je opuścił, gdy François zaczął rozdzielać ryby, które wprawdzie musiały odtajać przy ogniu. Kiedy zjadł swą porcję i powrócił do legowiska, zastał je już zajęte. Ostrzegawcze warknięcie oznajmiło mu, że zakradł się tam Szpic. Dotychczas Buck unikał z nim wszelkich starć, lecz tego już było za wiele. Odezwała się w nim dzika bestia. Rzucił się na Szpica z furią, która zaskoczyła ich obu, a zwłaszcza Szpica; dotychczasowe bowiem doświadczenie kazało mu przypuszczać, że jego rywal jest niezwykle łagodnym psem, któremu udało się zdobyć stanowisko tylko dzięki wielkości i wadze.

François zdziwił także widok skłębionych ciał psów, gdy wypadły z legowiska, ale domyślił się, co spowodowało tę awanturę.

— Hej! — zawołał do Bucka. — Bierz go, do licha! Bierz go, tego przeklętego złodzieja!

Szpic gotów był do walki. Skowycząc z wściekłości i zajadłości krążył dookoła Bucka, aby rzucić się nań w odpowiedniej chwili. Buck, nie mniej zajadły i nie mniej ostrożny, tak

samo krążył, czyhając na odpowiedni moment. Lecz wtedy zaszło właśnie coś nieoczekiwanego, co przeniosło ich walkę o władzę w daleką przyszłość, o wiele mil przebytych na szlaku w ciężkim znoju.

Przekleństwo z ust Perrault, odgłos razów kija spadających na kości i przeraźliwy skowyt bólu były sygnałem wybuchu straszliwego zamieszania. Cały obóz zaroił się nagle od skradających się, pokrytych sierścią stworzeń — było to kilkadziesiąt wygłodniałych husky, które z jakiejś indiańskiej wioski zwęszyły obóz, Podpełzły bliżej podczas walki Bucka ze Szpicem, a gdy dwaj mężczyźni skoczyli na nie z kijami, obnażyły kły i zaczęły się rozpaczliwie bronić. Zapach żywności doprowadzał je do szału. Perrault dopadł jednego psa, który wsadził łeb głęboko do skrzynki z zapasami. Kij spadł ciężko na sterczące żebra winowajcy, a skrzynka przewróciła się na bok. W jednej chwili ze dwadzieścia wygłodzonych zwierząt rzuciło się na chleb i słoninę. Psy nic sobie nie robiły z bicia. Skowyczały i wyły z bólu pod gradem ciosów, nie przestawały jednak walczyć wściekle, dopóki nie pożarły wszystkiego, aż do ostatniej okruszynki.

Tymczasem zdumione psy zaprzęgowe wyskoczyły ze swoich legowisk, ale zostały natychmiast osaczone przez rozjuszonych napastników. Buck nigdy nie widział takich psów. Wydawało się, że kości przebija im skórę. Były to istne szkielety pokryte brudną sierścią, z płonącymi ślepiami, z pyskami ociekającymi śliną. Doprowadzone do szału głodem, stały się przerażające. Niesposób było je powstrzymać. Psy zaprzęgowe zostały odepchnięte do skały już przy pierwszym starciu. Bucka zaatakowały trzy husky, które w mgnieniu oka poszarpały mu skórę na łbie i grzbiecie. Wybuchła przerażająca wrzawa. Billy skomlał jak zwykle. Dave i So-leks, brocząc krwią z licznych ran, walczyły dzielnie obok siebie. Joe gryzł jak szatan: chwycił zębami przednią łapę jednego z wrogów i zmiażdżył kość. Podstępny Pike skoczył z błyskiem kłów na okaleczonego i jednym potrząśnięciem zmiażdżył mu kark. Buck chwycił któregoś z rozwścieczonych napastników za gardło. Z przeciętej żyły trysnęła na niego krew. Smak ciepłej krwi pobudził go do jeszcze większego okrucieństwa. Rzucił się na innego husky, lecz jednocześnie poczuł, że jakieś zęby wpijają się w jego własną szyję. Był to Szpic atakujący zdradziecko z boku.

Perrault i François, uporawszy się z napastnikami w obozie, pośpieszyli na pomoc psom zaprzęgowym. Dzika fala wygłodniałych zwierząt cofała się przed ludźmi i Buck zdołał oswobodzić się od wroga. Lecz tylko na chwilę. Obaj mężczyźni zmuszeni byli pobiec z powrotem, aby ratować żywność, a wtedy husky ponownie rzuciły się na zaprzęg. Billy, niemal oszalały ze strachu, przesadził pierścien dzikich napastników i zaczął uciekać po lodzie. Pike i Dub poszli za jego przykładem, a za nimi reszta zaprzęgu. Buck miał już

skoczyć ich śladem, gdy kątem oka ujrzał Szpica pędzącego ku niemu z wyraźnym zamiarem zwaleni go z nóg. Gdyby upadł, nie byłoby już dla niego ratunku przed tą nawałą husky. Przygotowany, odparował atak Szpica, po czym przyłączył się do towarzyszy uciekających przez zamrznięte jezioro.

Po jakimś czasie dziewięć psów zaprzęgu skupiło się i szukało schronienia w lesie. Chociaż nie groził im już pościg, położenie ich było opłakane. Każdy otrzymał po kilka ran, niektóre zaś były bardzo groźne. Dub miał ciężko pokaleczoną tylną łapę; Dolly, ostatnia husky dodana do zaprzęgu w Dyea — mocno poszarpane gardło. Joe stracił oko, a dobroduszny Billy, z uchem podartym na strzępy, skowyczał i jęczał żałośnie przez całą noc. O świcie cały zaprzęg dowlókl się, sunąc ostrożnie, do obozu oswobodzonego od napastników. Perrault i François byli w bardzo złych humorach. Przeszło połowa żywności przepadła. Husky poprzegryzały nawet rzemienie przy saniach i brezentowe pokrycia. Nic, co by się choć w najmniejszym stopniu nadawało do jedzenia, nie uszło ich żarłoczności. Zjadły parę mokasynów Perrault, z jeleniej skóry, skórzane części uprzęży, a nawet rzemienne zakończenie bata François. Metys przerwał ponure rozmyślenia nad batem, by obejrzyć pokaleczone psy.

— Ach, moi drodzy przyjaciele — powiedział łagodnie. — Może dostaniecie wścieklizny od tyłu ran. Może wszyscy dostaniecie wścieklizny, do diabła! Jak myślisz, Perrault?

Kurier pokiwał głową z niepokojem. Miał jeszcze przed sobą czterysta mil do Dawson, a wybuch wścieklizny Wśród psów uniemożliwiłby mu dalszą drogę. Po dwóch godzinach przekleństw i wysiłków uprząż została wreszcie doprowadzona do porządku i poranione psy ruszyły w drogę, z bólem przewyciężając trudności najcięższego odcinka dotychczas przebytego szlaku, który był zresztą najcięższym odcinkiem drogi do Dawson.;

Rzeka Trzydziestu Mil jeszcze nie zamrzła. Wartki prąd chronił ją przed mrozem i tylko wzdłuż brzegu w spokojnych zatoczkach była ścięta lodem. Przebycie tych strasznych trzydziestu mil wymagało sześciu dni ciężkiej pracy. A tym straszniejsze były te mile, że każdy krok zagrażał życiu psów i ludzi. Wiele razy pękał lód pod Perrault, badającym drogę. Perrault ratował się tylko dzięki temu, że długi kij, który trzymał poziomo w ręku, opierał się zawsze o krawędzie otworu wybitego ciężarem ciała w lodzie. Ale nastały już wielkie mrozy, termometr wskazywał pięćdziesiąt stopni poniżej zera, toteż Perrault, chcąc ratować życie, musiał po każdej lodowatej kąpieli rozpalać ogień i suszyć odzież.

Ale Perrault był nieustraszony. A ponieważ był nieustraszony, wyznaczono go na kuriera rządowego. Nie bał się żadnego ryzyka. Jego drobna, zasuszona postać uparcie przebijiała się przez mróz od szarego świtu aż do zmroku. Sunął wzdłuż poszarpanych brzegów po wąskim

pasemku lodu, który ugiął się i trzeszczał pod nogami i na którym nie mieli odwagi się zatrzymać. Pewnego razu sanie zapadły się wraz z Buckiem i Dave'em. Na wpeł zamarznięte psy o mało się nie potopiły, zanim zdołano je wyciągnąć. Aby uratować zwierzęta, trzeba było natychmiast rozpać ognisko. Gruba skorupa lodu pokrywała sierść Bucka i Dave'a. Perrault i François pędzili psy dookoła ognia, aż zwierzęta zagrzały się i odtajały, biegnąc tak blisko, że płomień chwycił ich sierść.

Innym razem zapadł się Szpic, wciągając za sobą cały zaprzęg aż do Bucka; Buck zahamował z wszystkich sił, wparłszy się przednimi łapami w śliską krawędź trzeszczącego i pękającego lodu. Pomógł mu Dave, który mocno pchnął sanie do tyłu, a stojący za saniami François szarpnął je z taką siłą, że aż nadwerżył sobie ścięgna.

I znowu lód zaczął trzaskać dookoła i nie pozostało już nic innego, jak tylko ratować się ucieczką na stromą skałę przybrzeżną. Perrault udało się wdrapać na nią cudem, podczas gdy François modlił się właśnie o ten cud. Wtedy Perrault połączył wszystkie rzemienie i postronki uprzęży w długą linę, za pomocą której wciągnął na szczyt skały najpierw psy, jednego po drugim, potem ładunek i sanie. François wy dostał się ostatni. Potem na próżno poszukiwali dogodnego zejścia, aż spuścili się wreszcie za pomocą tej samej liny. Zanim znaleźli się z powrotem na rzece, zapadła noc. Tego dnia przebyli zaledwie ćwierć mili.

Kiedy dotarli do Hootalinqua i mocnego lodu, Buck był już bardzo wyczerpany. Pozostałe psy znajdowały się w nielepszym stanie. Lecz Perrault popędzał zaprzęg od świtu do nocy, aby nadrobić stracony czas. Pierwszego dnia przebyli trzydzieści pięć mil do Big Salmon, następnego dnia znowu trzydzieści pięć do Little Salmon, trzeciego dnia czterdzieści, co zbliżyło ich znacznie do Five Fingers.

Łapy Bucka nie były tak twarde i wytrzymałe jak łapy psów husky. Wydelikacily się przez wiele pokoleń od czasu, gdy ostatni jego dziki przodek został oswojony przez prehistorycznego człowieka. Całymi dniami biegł kulejąc z bólu, a po rozbiciu obozu padał jak martwy. Chociaż głód szarpał mu wnętrzności, nie ruszał się po swoją porcję ryby i François musiał mu ją przynosić. Co wieczór po kolacji Metys rozcierał mu przez pół godziny łapy, a wreszcie poświęcił cholewki swoich własnych mokasynów i uszył cztery małe mokasyny, dzięki którym Buck znacznie mniej cierpiał. Pewnego ranka wywołał nawet uśmiech na zaszuszonej twarzy Perrault, gdy François zapomniał o mokasynach, a Buck położył się na grzbiecie, machając błagalnie w powietrzu łapami, i nie chciał ruszyć z miejsca bez swoich bucików. Z czasem łapy jego zrogowaciały na szlaku, a zniszczone „obuwie” zostało wyrzucone.

Któregoś dnia nad rzeką Pelly, podczas zaprzęgania, Doiły, która dotychczas niczym się nie wyróżniała, dostała nagle ataku wścieklizny. Oznajmiła o tym długim, przejmującym wyciem, na dźwięk którego wszystkim psom ze strachu sierść zjeżyła się na grzbietach, i skoczyła wprost na Bucka. Chociaż ów nigdy w życiu nie widział wściekłego psa i nie miał powodu obawiać się wścieklizny, poczuł jednak, że stoi w obliczu niebezpieczeństwa, i rzucił się przerażony do ucieczki. Pędził prosto przed siebie, a tuż za nim Doiły, zdyszana, z pianą na pysku. Nie mogła go dogonić — tak wielkie było jego przerażenie, ale i on nie mógł od niej uciec — tak wielkie było jej szaleństwo. Buck wpadł do lasu porastającego brzeg wyspy, pomknął w dół ku rzece, przebiegł po nierównym lodzie, pokrywanym jej odnogę, na drugą wyspę, potem na trzecią, zawrócił do głównego koryta i w rozpaczy puścił się ku przeciwległemu brzegowi. A choć przez cały czas nie obejrzał się ani razu, czuł chrapliwy oddech tuż za sobą. Nagle usłyszał wołanie François, oddalonego o jakieś ćwierć mili, więc zawrócił i pomknął z powrotem, ciągle o krok przed Dolly, z trudem łapiąc oddech, ale wierząc, że François go uratuje. Poganiacz trzymał w ręku siekierę wzniesioną do ciosu, a gdy Buck minął go w pędzie, siekiera spadła na łeb szalonej Dolly.

Buck, wyczerpany, bezsilny, zziębnięty, ledwo dowlóknął się do sań. Na taką właśnie okazję czekał Szpic. Skoczył na bezbronnego wroga i dwukrotnie zatopił w nim kły, rozdzierając ciało aż do kości. Wtedy świsnął bat François, a Buck przyglądał się z przyjemnością, jak Szpic dostawał takie cięgi, jakich nie dostał dotąd żaden pies z zaprzęgu.

— Diabeł z tego Szpica — zauważył Perrault. — Pewnego pięknego dnia uśmierci nam Bucka.

— Za to Buck to dwa diabły — brzmiała odpowiedź François. — Przyglądam mu się od dawna i jestem przekonany, że to on pewnego pięknego dnia wścieknie się, rozszarpie Szpica na kawałki i porozrzuca je po śniegu. To murowane.

Odtąd między dwoma psami zapanowała otwarta wojna. Szpic, jako przodownik i uznany władca zaprzęgu, poczuł się zagrożony na swoim stanowisku przez tego dziwnego psa z Południa. A Buck wydawał mu się dziwny dlatego, że spośród licznych psów z Południa, jakie dotąd spotykał, żaden nie był wiele wart ani w obozie, ani na szlaku. Wszystkie były zbyt delikatne i umierały z mrozu, głodu i znoju. Buck stanowił wyjątek. On jeden wytrzymywał wszystkie trudy i czuł się doskonale, dorównując husky siłą, dzikością i sprytem. Miał władczy charakter i był niebezpieczny dlatego, że pałka człowieka w czerwonym swetrze wybiła mu z głowy wszelkie nierozważne porywy i zbyt ni pośpiech w dążeniu do zdobycia władzy. Był niezwykle chytry i umiał czekać z cierpliwością, jaka cechuje pierwotne natury.

Ostateczna rozgrywka o pierwszeństwo była nieunikniona. Buck pragnął tego. Pragnął, ponieważ walka leżała w jego naturze, ponieważ opanowała go już ta nie określona bliżej, niezrozumiała ambicja szlaku — ambicja, która dodaje bodźca w ciężkim wysiłku aż do ostatniego tchu, która sprawia, że psy w uprząży umierają radośnie, a odcięte od zaprzęgu — ze złamanym sercem. Taka była ambicja Dave'a jako dyszlowego i Sol-leksa, gdy z całych sił ciągnął sanie. Ambicja, która opanowywała je przy zwijaniu obozu, przekształcając zgryźliwe i ponure zwierzęta w chętne, dzielne stworzenia. Ambicja, która dodawała im ducha w ciągu dnia i opuszczała je wieczorem przy rozbijaniu obozu, kiedy to zapadały ponownie w ponury niepokój i niezadowolenie. Była to ambicja, która podtrzymywała Szpica i nakazywała mu karać psy, gdy myliły się lub wykręcały od pracy, czy też chowały się, kiedy nadchodziła pora zaprzęganania. Ta właśnie ambicja sprawiała, że Szpic bał się Bucka jako groźnego rywala. I taką samą ambicję posiadał Buck.

Teraz otwarcie zaczął zagrażać stanowisku Szpica jako przodownika zaprzęgu. Bronił winnych, których tamten miał obowiązek ukarać. I robił to rozmyślnie. Pewnej nocy spadł obfity śnieg, a rano leniwy Pike nie zjawił się przy saniach. Leżał ukryty w swoim legowisku pod grubą warstwą śniegu. François wołał go i szukał bezskutecznie. Szpic szalał z wściekłości. Miotał się po całym obozie węsząc i rozkopując wszystkie podejrzane miejsca, a warczał tak groźnie, że Pike, słysząc to, trząsał się ze strachu w swojej kryjówce.

Lecz gdy wreszcie odnaleziono Pike'a i Szpic skoczył, by go ukarać, Buck rzucił się z równą furią pomiędzy nich. Atak ten był tak niespodziewany i tak zręczny, że zwałił Szpica z nóg. Drżący ze strachu Pike nabrał odwagi na widok otwartego buntu i skoczył na leżącego przywódcę. Buck, który zapomniał już o zasadach uczciwej gry, również rzucił się na Szpica. Lecz François, choć ubawiony tym zajściem, nie zawahał się w wymiarze sprawiedliwości i uderzył Bucka z całych sił batem. Nie zdołał go jednak odpędzić od powalonego rywala, więc zmuszony był użyć rękojęści. Podczas gdy Buck, na wpół ogłuszony uderzeniem, leżał smagany raz po raz batem, Szpic surowo ukarał Pike'a, który już tyle razy przewinił. W ciągu następnych dni, gdy zmniejszała się odległość do Dawson, Buck nadal bronił winnych przed Szpicem. Lecz robił to przebiegle, kiedy François nie było w pobliżu. Jednocześnie z cichym buntem Bucka wybuchła i przybierała na sile ogólna niesubordynacja. Dave i Sol-leks nie ulegli powszechnemu nastrojowi, ale reszta zaprzęgu demoralizowała się coraz bardziej. Zaczęło się źle dziać. Zwady i kłótnie nie ustawały. Panował nastrój pełen napięcia, a przyczyną wszystkiego był Buck. François nie miał chwili spokoju. Ciągle obawiał się wybuchu walki na śmierć i życie między tymi dwoma, bo wiedział, że prędzej czy później

walka ta musi nastąpić. Niemal co noc odgłosy gryzących się psów wyciągały go ze śpiwora; bał się, czy to nie Buck i Szpic walczą ze sobą.

Sposobność nie nadarzyła się jednak i groźba walki wciąż wisiała w powietrzu, gdy pewnego ponurego popołudnia dotarli wreszcie do Dawson. Znajdowało się tam moc ludzi i mnóstwo psów, a Buck przekonał się, że wszystkie psy pracowały. Wydawało się zwykłym porządkiem rzeczy, że psy muszą pracować. Całymi dniami długie zaprzęgi sunęły główną ulicą miasta, a nawet po nocach rozbrzmiewały dzwoneczki na uprzęży. Psy przewoziły bale i drzewo na opał, przeznaczone dla kopalń, i w ogóle wykonywały wszelkie prace, jakie w dolinie Santa Clara spełniały konie. Tu i ówdzie Buck spotykał psy z Południa, ale większość stanowiły mieszańce husky z wilkami. Co noc, regularnie o dziewiątej, dwunastej i trzeciej, rozpoczynały one swoją pieśń — niesamowity, przedziwny chorał, do którego Buck przyłączał się z zachwytem.

Gdy niebo rozpalało się zimnym blaskiem zorzy polarnej, gdy gwiazdy skrzyły się na mroźnym firmamencie, a skuta mrozem ziemia leżała w odrętwieniu pod śnieżnym całunem, ta pieśń husky mogłaby brzmieć jak wyzwanie rzucone życiu, gdyby nie jej ponury ton, długie zawodzenie i półszloch, które raczej skarżyły się na życie, na ciężki trud istnienia. Była to dawna pieśń, tak dawna jak rasa — jedna z pierwszych pieśni młodego świata z owych dni, gdy pieśni pełne były smutku. Rozbrzmiewała w niej żalność niezliczonych pokoleń i skarga, która tak dziwnie przejmowała Bucka. W zawodzeniu Bucka przewijały się cierpienia życiowe, które były ongiś cierpieniami jego dzikich przodków, przebijał lęk przed tajemnicą zimnego mroku, który był ongiś także ich lękiem. A to, że przejmował go ten lęk, oznaczało całkowity nawrót poprzez wieki ognia i domostwa do surowych zaczątków życia w dzikich i ponurych czasach.

W siedem dni po przybyciu do Dawson zjechali po stromym brzegu koło koszar na szlak yukoński, kierując się do Dyea i ku morzu. Perrault wiózł pocztę jeszcze pilniejszą od tej, którą dostarczył do Dawson. A ponadto opanowała go teraz ambicja szlaku i chciał pobić tegoroczny rekord szybkości. Warunki ku temu były sprzyjające. W czasie tygodniowego odpoczynku psy odzyskały siły i były znowu w dobrej kondycji. Szlak, który uprzednio przebyli jako pierwsi, został tymczasem przez następnych podróżników dobrze przetarty. Prócz tego policja przygotowała w kilku miejscach składy żywności dla psów i ludzi, więc Perrault mógł podróżować bez wielkiego obciążenia.

Pierwszego dnia dotarli do Sześćdziesiątej Mili, co oznaczało, że przebyli pięćdziesiąt mil. Drugi dzień zastał ich, pędzących w górę Yukonu, już w pobliżu Pelly. Lecz ta wspaniała szybkość została osiągnięta nie bez wielkiego wysiłku i zdenerwowania François. Ferment

buntu, zdradliwie rozsiany przez Bucka, rozbił solidarność zaprzęgu.. Nie był to już zaprzęg zgodnie biegnący przy saniach. Buntownicy, zachęceni przez Bucka, popełniali szereg drobnych przewinień. Szpic przestał być przywódcą wzbudzającym postrach. Dawny szacunek zniknął i psy odważały się lekceważyć jego' autorytet. Pike ukradł mu pewnego wieczoru pół ryby i pożarł ją błyskawicznie skrywszy się pod opiekę Bucka. Innym razem Dub i Joe zaatakowały Szpica i zmusiły go do zaniechania kary, na którą zasłużyły. Nawet Billy stał się mniej dobroduszny i nie skowyczał już tak pojednawczo jak dawniej. Buck nigdy nie zbliżał się do Szpica inaczej, jak z groźnym warczeniem i najeżoną sierścią. A jego bezczelność wzrosła do tego stopnia, że przechadzał się dumnie tam i z powrotem przed samym nosem Szpica.

Upadek dyscypliny odbił się również na wzajemnych stosunkach innych psów. Dokuczały sobie i gryzły się jak nigdy dotąd, aż nieraz w obozie wybuchało istne piekło. Nie zmienili się tylko Dave i Sol-leks, ale ich także drażniły te ustawiczne waśnie. François miotał jakieś dziwne barbarzyńskie przekleństwa i tupał nogami w bezsilnej wściekłości, wrywając sobie włosy z głowy. Bat jego świstał nieustannie, ale nie odnosiło to wielkiego skutku. Wystarczyło, aby odszedł na chwilę, a psy znowu zaczynały swoje. Starał się podtrzymywać autorytet Szpica batem, podczas gdy Buck podtrzymywał bunt wśród reszty zaprzęgu. François wiedział, kto był winowajcą, a Buck wiedział o tym, że on wie. Lecz Buck był za mądry, żeby dać się teraz złapać na gorącym uczynku. Pracował pilnie w uprzęży, gdyż praca stała się dla niego rozkoszą, lecz większą rozkoszą było chytre podjudzanie towarzyszy do walki i plątanie postronków..

Przy ujściu Tahkeeney Dub natknął się pewnego wieczoru po kolacji na zająca bielaka, ale nie zdołał go złapać. W mgnieniu oka cały zaprzęg ujadając rzucił się w pogoń. W odległości stu jardów znajdował się posterunek północno-zachodniej policji. Było tam z pięćdziesiąt psów, samych husky, które także przyłączyły się do pościgu. Bielak pomknął w dół rzeki, później skręcił w bok i popędził po zamrzniętym łożysku strumienia, trzymając się go' uporczywie. Gnał lekko po śniegu, pod czas gdy psy zapadały się i biegly z wielkim wysiłkiem. Buck prowadził całą zgraję sześćdziesięciu psów, mijał zakręt po zakręcie, ale odległość między nimi a ofiarą nie zmniejszała się wcale.

Wyciągnięty jak struna, pędził poszczekując zajadle, a w bladym świetle księżyca jego wspaniałe ciało połyskiwało przy każdym skoku. Lecz bielak, jak śnieżny duszek, sadził susami prosto przed siebie.

Odzywające się odwieczne instynkty, które w pewnych okresach wyciągają ludzi z hałaśliwych miast do lasów i na pola i każą -zabijać stworzenia ołowianymi kulami, żądza

krwi, rozkosz zabijania — wszystko to odczuwał Buck, ale odczuwał znacznie głębiej. Pędził oto na czele zgrai w pogoni za dzikim stworzeniem, za żywym mięsem, aby je zabić własnymi zębami i zanurzyć pysk aż po oczy w ciepłej krwi.

Istnieje stan ekstazy, będący szczytowym punktem życia, ponad który już wznieść się nie można. A taki jest paradoks istnienia, że w momencie tej ekstazy człowiek żyje tak intensywnie jak nigdy i jednocześnie zapomina, że żyje. Ekstaza ta, to zapomnienie o życiu, ogarnia artystę płomieniem. Ogarnia żołnierza, gdy po przegranej bitwie w bojowym szale odmawia łaski z ręki wroga. Ogarnęła i Bucka, gdy wydając odwieczny wilczy zew, pędził na czele zgrai za zwierzątkiem umykającym szybko w świetle księżyca. W głosie Bucka przebijała cała głębia jego natury, jej niezbadane tajniki, sięgające początków istnienia.

Ogarnęło go uczucie wspaniałej żywotności, zalała potężna fala radości istnienia, pełnia szczęścia odczuwana w każdym mięśniu, stawie i ścięgnie. Było w tym wszystko, co nie było śmiercią, co było płomienne i dzikie, co wyrażało się ruchem, ulatywało radośnie ku gwiazdom ponad martwą materię, pozostającą w bezruchu.

Tymczasem Szpic, chłodny i wyrachowany nawet w chwilach najwyższego napięcia, odłączył się od zgrai i przeciął wąski cypel łądu otoczony szerokim łukiem strumienia. Buck o tym nie wiedział. Lecz gdy okrążył cypel, a bielak jak śnieżny duszek ciągle mknął przed nim, nagle ujrzał innego, większego ducha, który skoczył z wysokiego brzegu i przeciął drogę uciekającemu. Był to Szpic. Bielak już nie mógł zawrócić, a gdy kły miażdżyły mu kark, krzyknął tak przeraźliwie, jak może tylko krzyknąć zraniony człowiek. Na dźwięk tego głosu — głosu życia spadającego ze swych wyżyn w szpony śmierci — cała zgraja odezwała się piekielnym chórem zachwyty.

Buck nie przyłączył się do chóru i nie zatrzymał. Skoczył na Szpic gwałtownie, ale wskutek nagłości ruchu nie zdołał chwycić go za gardło. Ciała obu psów skłębiły się w puszystym śniegu. Szpic błyskawicznie zerwał się na nogi, rozdarł Buckowi skórę na łopacie i odskoczył. Jego zęby kłapnęły dwukrotnie jak stalowe kleszcze pułapki, gdy cofał się do tyłu, aby lepiej przygotować się do skoku, obnażając kły i groźnie warcząc.

W mgnieniu oka Buck zrozumiał. Nadszedł czas. To będzie walka na śmierć i życie. Gdy warcząc z cicha zaczęli krążyć dokoła siebie z położonymi po sobie uszami, pilnie wypatrując sposobności do ataku, scena ta wydała się Buckowi dziwnie znajoma. Jakby przypominał sobie to wszystko — i biały las, i ziemię pod śniegiem, i światło księżyca, i dreszcz walki. Nad białym pustkowiem panowała upiorna cisza. Nie zakłócał jej najlżejszy podmuch wiatru — nic się nie poruszało, nie zadrzała gałązka, tylko kłęby pary buchające z psich pysków snuły się powoli w mroźnym powietrzu. Psy, a właściwie ledwo oswojone wilki, nie tracąc

dużo czasu nad bielakiem, otoczyły walczących w pełnym napięcia oczekiwaniu. One również milczały, tylko płonęły im ślepią i para unosiła się z pysków. Dla Bucka ta scena sprzed wieków nie była ani nowa, ani dziwna. Wydawało mu się, że jest tak, jak być powinno. .

Szpic był doświadczonym w walce przeciwnikiem. Od Szpicbergen poprzez kraje podbiegunowe, Kanadę i jej tundry walczył z różnymi psami i zawsze zwyciężał. Ogarniała go wściekłość dzika, ale nigdy ślepa. W swej namiętności rozdzierania i zabijania nigdy nie zapominał, że jego wróg ulega tej samej namiętności. Nigdy nie atakował, dopóki nie był przygotowany na odparcie ataku, nigdy nie zadawał ciosu, dopóki najpierw ciosu nie odparł.

Na próżno, Buck starał się zatopić zęby w szyi białego olbrzyma. Gdy tylko próbował dotrzeć kłami ciała, napotykał kły Szpica. Kieł zderzał się z kłem, poranione wargi krwawiły, lecz Buck nie mógł przełamać obrony wroga. Wreszcie rozgrzany walką jął przypuszczać jeden po drugim błyskawiczne ataki. Raz po raz sięgał do śnieżnobiałej szyi, gdzie życie tętniło pod skórą. Gdy Szpic odparowywał te ciosy, Buck udając, że skacze mu do gardła, odwracał nagle łeb, i pochyliwszy się w bok, uderzał z całej siły, jak taranem, barkiem

o bark Szpica, by zwalić go z nóg. Lecz manewr ten się nie udawał. Szpic za każdym razem rozdierał mu bark i lekko uskakiwał na bok.

Szpic był nie tknięty, a Buck broczył krwią i ciężko dyszał. Walka stawała się rozpaczliwa. A przez cały czas milczące koło dzikich psów czekało, by dobić tego, który padnie. Gdy Buck był już wyraźnie zmęczony, Szpic zaczął atakować tak ostro, że jego przeciwnik ledwo mógł się utrzymać na nogach. Raz nawet upadł i cały pierścień sześćdziesięciu psów poderwał się; lecz Buck zdołał odzyskać równowagę, zanim dotknął ziemi, i psy przysiadły znów w oczekiwaniu.

Ale Buck posiadał jedną zaletę, która stanowi o wielkości — wyobraźnię. Walczył kierując się instynktem, lecz mógł również walczyć kierując się rozumem. Skoczył na Szpica, jak gdyby chciał zastosować poprzedni manewr uderzenia barkiem, ale w ostatniej chwili przypadł nisko do ziemi i chwycił zębami lewą przednią łapę wroga. Rozległ się trzask łamanej kości i biały pies musiał walczyć dalej na trzech nogach. Trzykrotnie Buck próbował go powalić, aż wreszcie powtórzył manewr i złamał Szpicowi przednią prawą łapę. Pomimo bólu

i bezradności, Szpic starał się rozpaczliwie stawić mu czoło. Widział, że milczący pierścień psów o płonących ślepiach i wywieszonych jęzorach, osnuty srebrzystymi oparami oddechów, zacieśnia się wokół niego, tak jak kiedyś zacieśniały się inne pierścienie dookoła zwyciężonych wrogów. Ale tym razem on został zwyciężony.

Nie było dla niego nadziei. Buck był bezlitosny. Litość istniała tylko w ciepłych krajach. Teraz zbierał się do ostatecznego ciosu. Pierścień zacieśnił się tak, że czuł na sobie oddechy husky. Widział je za plecami Szpica i po obu bokach, prężące się do skoku ze ślepiami wlepionymi w ofiarę. W walce jak gdyby nastąpiła przerwa. Psy zamarły w bezruchu jak skamieniałe. Tylko Szpic drżał i jeżył sierść, zataczając się i warcząc przeraźliwe groźby, jakby chciał odstraszyć nadchodzącą śmierć. Wtedy Buck skoczył, jeszcze raz uderzając barkiem o bark. Ciemny pierścień zamknął się tworząc plamę na śniegu, co srebrzył się w świetle księżyca. Szpic znikł z oczu. Buck stał i patrzył. Wygrał walkę. Pierwotna bestia zabiła ofiarę i poczuła smak zwycięstwa.

IV. TEN, KTÓRY ZWYCIĘŻYŁ

— A co, nie mówiłem? Czy nie miałem racji, że ten Buck to dwa diabły?

Słowa te padły z ust François następnego ranka, gdy zauważył, że Szpica nie ma w obozie, a Buck jest ciężko poraniony. Przyciągnął psa do ogniska i przy blasku płomieni wskazywał rany kurierowi.

— Ten Szpic walczył jak szatan — powiedział Perrault przyglądając się głębokim ranom i poszarpanej w wielu miejscach skórze.

— Za to Buck walczył jak dwa szatany — odrzekł François. — Ale teraz przynajmniej będziemy szybko jechać. Nie ma Szpica, nie ma zamieszania.

Perrault pakował ekwipunek obozowy i ładował sanie, a François przystąpił do zaprzęgnięcia psów. Buck podbiegł do miejsca, które dotąd zajmował Szpic jako przodownik. Lecz François, nie zwracając na niego uwagi, zaprowadził Sol-leksa na to upragnione stanowisko. Zdaniem Metysa Sol-leks najlepiej nadawał się na przodownika. Wtedy Buck skoczył z furią na Sol-leksa, odpędził go i stanął na czele zaprzęgu.

— A to co? A to ci dopiero! — zawołał François, klepiąc się radośnie po udach. — Spójrz na tego Bucka! Zabił Szpica i uważa, że należy mu się jego miejsce.

— Wynoś się, diable! — krzyknął, lecz Buck ani drgnął.

Wtedy Metys chwycił Bucka za skórę na karku i chociaż pies warczał groźnie, odciągnął go na bok i ponownie zaprowadził Sol-leksa na czoło zaprzęgu. Wcale się to staremu psu nie podobało, okazywał wyraźnie, że boi się Bucka. François był nieustępliwy, ale gdy tylko się odwrócił, Buck znowu zajął miejsce Sol-leksa, który je chętnie odstąpił.

Metys wpadł w gniew. — Do 'diabła, poczekaj, ja ci teraz pokażę! — zawołał podchodząc do psa z ciężkim kijem w ręku.

Buck przypomniał sobie człowieka w czerwonym swetrze i wycofał się powoli. Nie próbował też atakować, gdy jeszcze raz ustawiono Sol-leksa na przedzie. Krążył jednak tuż poza zasięgiem kija, warcząc z goryczą i wściekłością. Nie spuszczał tylko kija z oczu, by móc w razie czego odskoczyć. Wiedział już bowiem dobrze, co znaczy kij.

Poganiacz zajął się znów zaprzęgnięciem i kiedy przyszła kolej na Bucka, zawołał psa, żeby go ustawić na dawnym miejscu przed Dave'em. Buck cofnął się o kilka kroków. François podszedł do niego, ale pies znowu się cofnął. Gdy powtórzyło się to kilka razy, François odrzucił kij myśląc, że Buck boi się bicia. Lecz Buck zbuntował się otwarcie. Nie

chodziło mu o uniknięcie kary, tylko o stanowisko przodownika. Miał do tego prawo. Zasłużył na nie i nie zadowolił się niczym innym.

Wreszcie Perrault przyszedł z pomocą. Razem z François uganiał się za psem bez mała godzinę. Rzucali w niego kijami. Pies zgrabnie unikał ciosów. Przeklinali go wraz z jego przodkami i całym potomstwem aż do najdalszego pokolenia, przeklinali każdy włos na jego ciele i każdą kroplę krwi w żyłach. A pies odpowiadał warczeniem na każde przekleństwo i trzymał się poza zasięgiem kija prześladowców. Nie uciekał daleko, krążył po obozie okazując wyraźnie, że gdy tylko jego życzenie zostanie spełnione, wróci i będzie posłuszny.

François usiadł i podrapał się w głowę. Perrault spojrzął na zegarek i zaklął. Czas mijał. Już od godziny powinni być w drodze. François znowu podrapał się w głowę, potrząsnął nią i uśmiechnął się niepewnie do kuriera. Ten wzruszył ramionami na znak, że zostali zwyciężeni. Wtedy François podszedł do Sol-leksa i zawołał Bucka. Buck zaśmiał się tak, jak umieją się śmiać psy, ale nie podszedł bliżej. François wyprzągnął Sol-leksa i umieścił go na dawnym miejscu. Psy stały zaprzężone do sań jeden za drugim, gotowe do drogi. Dla Bucka zostało tylko miejsce na przedzie. François zawołał go jeszcze raz i znowu Buck zaśmiał się i cofnął.

— Odrzuć kij — rozkazał Perrault.

François usłuchał, a wtedy Buck przybiegł śmiejąc się tryumfalnie i zajął miejsce na czele zaprzęgu. Przymocowano mu uprząż, płozy oderwano od lodu, obaj mężczyźni ruszyli biegiem i za chwilę sanie pomknęły po rzeczonym szlaku.

Chociaż poganiacz wysoko cenił Bucka, dając mu nazwę „dwóch diabłów”, przekonał się już w ciągu poranka, że go jednak nie doceniał. W mgnieniu oka Buck objął obowiązki przodownika, a jeśli szło o decyzję, bystrość myśli i szybkość działania, okazało się, że przewyższa nawet Szpica, któremu równego François nigdy nie widział.

Lecz przede wszystkim Buck celował w rządzeniu i narzucaniu posłuchu towarzyszom. Dave i Sol-leks przyjęli obojętnie zmianę przywódcy. Nic ich to nie obchodziło. Obchodziła ich tylko praca, i to ciężka praca w uprzęży. Dopóki nikt ich nie zaczepiał, nie przejmowali się niczym. Było im wszystko jedno — nawet dobroduszny Billy mógł zostać przodownikiem, byleby tylko potrafił utrzymać porządek. Natomiast reszta psów stała się niesforna podczas ostatnich dni rządów Szpica i wielkie było ich zdziwienie, gdy Buck zabrał się ostro do przywracania dyscypliny.

Pike, który biegł tuż za Buckiem i nigdy nie ciągnął mocniej, niż musiał, był raz po raz karany za lenistwo. Zanim dzień minął, ciągnął tak silnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Pierwszego wieczoru, gdy rozbito obóz, zgryźliwy Joe został surowo ukarany, co nigdy nie

udawało się Szpicowi. Buck po prostu przygniótł go swoim ciężarem i tak pogryzł, że Joe przestał się bronić i zaczął skomleć o litość.

Ogólny nastrój w zaprzęgu poprawił się natychmiast. Wróciła 'dawna solidarność i znowu psy zgodnie biegły w uprzęży. W Rink Rapids przybyły dwa rodowite husky, Teek i Koon, a szybkość, z jaką Buck je wyuczył, wzbudziła zachwyty François.

— Nigdy nie widziałem takiego psa jak Buck! — wołał. — Nigdy! Wart tysiąc dolarów, do licha! Co ty na to, Perrault?

Perrault kiwnął twierdząco głową. Pobił już rekord szybkości na szlaku i codziennie nadrabiał czas. Szlak był w doskonałym stanie, mocno ubity i twardy, gdyż od dawna nie padał śnieg, co utrudniłoby drogę. Mrozy nie były zbyt silne. Temperatura spadła do pięćdziesięciu stopni poniżej zera i tak się utrzymywała przez cały czas podróży. Obaj mężczyźni biegli lub jechali na zmianę i ostro popędzali psy, z rzadka zatrzymując się na postojach.

Rzeka Trzydziestu Mil była już niemal cała pokryta lodem, toteż w drodze powrotnej w jeden dzień pokonali przestrzeń, na którą poprzednio zużyli dni dziesięć. W ciągu jednego dnia przebyli sześćdziesiąt mil od jeziora Le Barge do White Horse Rapids. Przez Marsh, Tagish i Bennett (siedemdziesiąt mil jezior) przelecieli tak szybko, że człowiek, na którego wypadła kolej biec, musiał chwycić się liny przywiązanej do sań. Ostatniego: wieczoru drugiego tygodnia przebyli White Pass i zaczęli zjeżdżać po zboczu ku morzu, mając u stóp światła Skaguay i statków stojących w porcie.

Była to rekordowa podróż. Przez dwa tygodnie robili przeciętnie po czterdzieści mil dziennie. Toteż przez trzy dni Perrault i François paradowali dumnie po głównej ulicy Skaguay, zasypywani zaproszeniami na wódkę, a zaprzęg stale był otoczony pełnym podziwu tłumem handlarzy i poganiaczy psów. Ale któregoś dnia kilku bandytów z Zachodu zapragnęło „oczyścić” miasto. Zostali za to podziurawieni kulami i zainteresowanie publiczności zwróciło się w ich kierunku. Wkrótce nadeszły urzędowe rozkazy. François przywołał Bucka, objął go za szyję i płakał. Wtedy to po raz ostatni Buck widział François i Perrault. Zniknęli na zawsze z jego życia, tale jak wiele innych ludzi.

Jakiś pół Szkot, pół Indianin zabrał Bucka i jego towarzyszy i wraz z dwunastoma innymi zaprzęgami wyruszył znowu w nużącą drogę do Dawson. Tym razem nie była to ani łatwa, ani szybka podróż, lecz ciężka praca dzień po dniu z ciężkim ładunkiem. Wieziono bowiem pocztę, która niosła wieści ze świata ludziom poszukującym złota w cieniu bieguna.

Buck nie lubił takiej roboty, ale spełniał ją sumiennie i dumny był z niej, podobnie jak Dave i Sol-leks. Pilnował też, aby jego towarzysze, bez względu na to, czy odczuwali tę

dumę, czy nie, wykonywali sumiennie swoje obowiązki. Życie ich było monotonne, toczyło się z regularnością maszyny. Jeden dzień nie różnił się prawie od drugiego. Każdego ranka o tej samej porze kucharze wstawali, rozpalali ogniska i wydawali śniadanie. Potem zwijano obóz, zaprzęgano psy i ruszono w drogę na godzinę, zanim rozpraszające się ciemności zapowiedziały świt. Wieczorem rozbijano obóz. Jedni rozstawiali namioty, drudzy rąbali drzewo na opał i gałęzie sosnowe na posłanie, a jeszcze inni nosili wodę lub lód dla kucharzy. Potem karmiono psy. Był to dla nich najprzyjemniejszy moment dnia, chociaż lubiły także po zjedzeniu ryby pohasać sobie z godzinę czy dwie z innymi psami, których była przeszło setka. Znajdowali się wśród nich groźni zawadiacy, ale trzy walki stoczone z najgroźniejszymi przyniosły Buckowi zwycięstwo. Toteż gdy tylko najeżył sierść i pokazał kły, ustępowano mu z drogi.

Może jednak największą przyjemność odczuwał Buck, gdy mógł położyć się przy ognisku z podkurczonymi tylnymi łapami, wyciągniętymi przednimi i podniesioną głową, i marzyć, wpatrzony w płomienie. Czasem myślał o wielkim domu sędziego Millera w zalanej słońcem dolinie Santa Clara, o basenie pływackim, o Ysabel, bezwłosym meksykańczyku i Toots, japońskim mopsie. Częściej jednak wspominał człowieka W czerwonym swetrze, śmierć Curly, swoją wspaniałą walkę ze Szpicem, a także różne smaczne rzeczy, które kiedyś jadł i które zjadłby teraz chętnie. Nie tęsknił za domem. Słoneczna kraina zatarła się w jego pamięci i stała się odległą, toteż wspomnienia te nie narzucały mu się zbyt silnie. Znacznie silniejsze były wspomnienia związane z jego dziedzictwem, dzięki któremu nigdy nie widziane obrazy wydawały mu się znane; instynkty, które były tylko wspomnieniem o zwyczajach przodków i które zamierając stopniowo w dalszych pokoleniach, w nim samym ożyły ponownie.

Czasem, gdy tak leżał przy ognisku i marzył wpatrując się w płomienie, wydawało mu się, że są to płomienie innego ogniska i że leżąc przy tym innym ognisku widzi przed sobą nie kucharza Metysa, tylko innego człowieka. Tamten człowiek miał krótsze nogi i dłuższe ręce, o mięśniach suplastych i twardych jak postronki, a nie łagodnie zaokrąglających się pod skórą. Włosy miał długie i zmierzwione, a czoło cofnięte. Wydawał dziwne dźwięki i widocznie bardzo bał się ciemności, gdyż wpatrzony w nie ścisnął kurczowo w sięgających do pół łydki rękach pałkę z przymocowanym na końcu dużym kamieniem. Był prawie nagi, tylko poszarpana, osmolona ogniem skóra zwierzęca okrywała mu częściowo plecy. Całe ciało pokryte miał gęstym włosiem, który na piersiach, ramionach i udach tworzył jak gdyby futro. Nie stał prosto, tułów jego pochylał się ku przodowi, a kolana miał zgięte. Odznaczał

się niezwykłą sprężystością i kocią niemal zręcznością. Był czujny jak ktoś, kto żyje w ustawicznym lęku przed rzeczami widzialnymi i niewidzialnymi.

Niekiedy ten kosmaty człowiek spał siedząc przy ognisku z nisko opuszczoną głową. Wtedy opierał łokcie o kolana, a owłosione ręce spletał nad głową, jak gdyby chciał osłonić ją od deszczu, A dalej za ogniskiem, w otaczających je ciemnościach, Buck widział liczne żarzące się węgielki, po dwa, zawsze po dwa, i wiedział, że są to ślepiea wielkich drapieżników. Słyszał też trzask gałęzi, gdy zwierzęta przedzierały się przez leśną gęstwinę, i pomruki ich rozlegające się w nocy.

A gdy tak marzył nad brzegiem Yukonu, leniwie wpatrując się w ogień, te obrazy i odgłosy minionego świata przejmowały go taką grozą, że sierść jeżyła mu się na grzbiecie aż po kark i zaczynał skomleć żałośnie lub cicho warczeć. Wtedy kucharz Metys wołał: — Hej, Buck, obudźże się! — Na dźwięk tego głosu tamten świat zniknął i prawdziwy zjawiał się przed oczyma, a pies wstawał, przeciągał się i ziewał, jak gdyby naprawdę spał.

Ciężka była ta podróż z ładunkiem poczty i wymagała wielkiego wysiłku, toteż psy przybyły do Dawson wychudzone i wyczerpane. Należało im się dziesięć dni lub co najmniej tydzień odpoczynku. Lecz już po dwóch dniach musiały ponownie zjechać w dół brzegu koło koszar na Yukon z ładunkiem listów dla cywilizowanego świata. Psy były zmęczone, poganiacze niezadowoleni, a na domiar złego codziennie padał śnieg. Szlak stał się miękki, zwiększyło się tarcie płóz, a to zmuszało psy do większego wysiłku. Trzeba jednak przyznać, że przez cały czas podróży poganiacze zachowywali się wzorowo, opiekując się zwierzętami z największą troskliwością.

Co wieczór najpierw zajmowano się psami. Dostawały jedzenie w pierwszej kolejności i żaden z poganiaczy nie zaszył się do śpiwora, zanim nie obejrzał łap swych psów. Pomimo to zwierzęta opadały z sił. Od początku zimy przebyły tysiąc osiemset mil ciągnąc sanie po ciężkim szlaku, a takie tysiąc osiemset mil musi się odbić na najsilniejszym nawet organizmie. Buck dzielnie znosił trudy, zachęcając towarzyszy do pracy i utrzymując dyscyplinę, chociaż sam także był już wyczerpany. Billy co noc skomlał żałośnie przez sen. Joe stał się jeszcze zgryźliwszy, a Sol-leks nie pozwalał zbliżyć się do siebie nie tylko od strony wybitego oka, ale nawet od strony zdrowego.

Najgorsze jednak cierpienia znosił Dave. Widać było, że jest chory. Stał się jeszcze bardziej ponury i rozdrażniony, a gdy rozbijano obóz, natychmiast wygrzebywał sobie legowisko i poganiacz musiał mu przynosić jedzenie. Gdy się raz położył, nie podniósł się aż do rana. Przy każdym gwałtowniejszym szarpnięciu upręży podczas ruszania z miejsca lub nagłego hamowania sań, skowyczał z bólu. Metys zbadał go, lecz nie mógł znaleźć przyczyny

dolegliwości. Wszyscy poganiacze zainteresowali się chorobą Dave'a. Rozmawiali o tym w czasie posiłków i kurząc ostatnie fajki przed zaśnięciem, a wreszcie pewnego wieczoru urządzili konsylium. Przynieśli psa do ogniska, oglądali go i badali, a Dave raz po raz wył z bólu. Coś mu dolegało wewnątrz, ale ponieważ nie mogli doszukać się żadnej złamanej kości, nie rozumieli, co się z nim stało.

Kiedy dojeżdżali do Cassiar Bar, Dave tak osłabł, że kilkakrotnie padał w uprzęży. W osadzie tej Metys nakazał postój, wyprzągnął Dave'a, a na jego miejsce zaprzęgnął Sol-leksa. Chciał, aby pies odpoczął biegnąc za saniami. Lecz Dave, choć ciężko chory, nie chciał się z tym pogodzić. Warczał groźnie, gdy zdejmowano z niego uprzęż, a widząc Sol-leksa na stanowisku, które tak długo zajmował i na którym tak wiernie służył, zaczął rozpaczliwie skowyczeć. Miał bowiem ambicję szlaku i chociaż śmiertelnie chory, nie mógł znieść, by inny pies wykonywał jego pracę.

Gdy sanie ruszyły, zaczął biec po puszystym śniegu obok zaprzęgu, atakując Sol-leksa zębami i usiłując zepchnąć go w głęboki śnieg po drugiej stronie szlaku, by wskoczyć w jego uprzęż i zająć swoje miejsce przy saniach. Przez cały czas skowyczał, ujadął i wył z rozżalenia i bólu. Metys starał się odpędzić go batem, ale Dave nie zwracał uwagi na bolesne razy, a człowiek nie miał serca uderzyć mocniej. Pies nie chciał biec wygodnie za saniami, ubitą drogą, lecz brnął z trudem w głębokim śniegu obok Sol-leksa, dopóki całkiem nie stracił sił. Wreszcie upadł i leżał bez ruchu wyjąc rozpaczliwie, podczas gdy długi szereg sań mijał go w wielkim pędzie.

Ostatnim wysiłkiem powłókł się za saniami aż do następnego postoju, a wtedy minął obce zaprzęgi i zatrzymał się przy swoim, obok Sol-leksa. Metys podszedł do poganiacza zaprzęgu, stojącego za jego saniami, by zapalić fajkę, po czym wrócił i dał psom rozkaz odjazdu. Te skoczyły naprzód z zadziwiającą lekkością, obejrzały się i stanęły zdumione, poganiacz zdumiał się również — sanie ani drgnęły. Zawołał towarzyszy, żeby zobaczyli, co się stało; oto Dave przegryzł oba postronki Sol-leksa i stanął przy saniach na swoim właściwym miejscu.

Błagał oczami, aby pozostawiono go w zaprzęgu. Metys był zaskoczony. Inni poganiacze zaczęli opowiadać, że jeśli psu nie pozwala się wykonywać pracy, nawet takiej, która go zabija, to wtedy pęka mu serce. Przypominali wypadki, gdy psy, zbyt stare lub pokaleczone, zdychały, kiedy odcinano je od uprzęży. Uważali też, że ponieważ Dave i tak musi umrzeć, należy mu okazać litość i pozwolić, aby z lekkim sercem i uspokojony umarł w zaprzęgu. Toteż zaprzężono go znowu i ruszył dumnie jak dawniej, chociaż nieraz mimo woli

skowyczał, gdy ukryty ból przeszywał go na wskroś. Wielokrotnie padał i był wleczony przez zaprzęg, a raz nawet sanie najechały na niego, tak że okulał na tylną łapę.

Wytrzymał jednak aż do chwili rozbicia obozu. Metys zrobił mu miejsce przy ognisku. Rankiem był już za słaby do dalszej drogi. Podczas zaprzęgania próbował podpełznąć do - swych sań, Ze straszliwym wysiłkiem dźwignął się na nogi, ale zachwiał się i upadł. Wtedy zaczął czołgać się powoli w stronę, gdzie nakładano uprząż na jego towarzyszy. Wysuwał naprzód przednie łapy i podciągał tułów konwulsyjnymi ruchami, potem znowu wysuwał przednie łapy i znowu podciągał się o kilka cali. Wreszcie zupełnie opadł z sił. Towarzysze widzieli go po raz ostatni, jak leżał na śniegu z trudem łapiąc oddech i patrzył tęsknie za nimi. Dopóki nie zniknęli za pasmem drzew rosnących nad brzegiem rzeki, słyszeli jego' żalosne wycie.

Wtedy zatrzymano sanie. Metys powoli skierował kroki ku opuszczonemu przed chwilą obozowi. Ludzie zamilkli. Huknął strzał. Metys szybko powrócił. Świsnęły bity, wesoło zadźwięczały dzwonki, sanie pomknęły po szlaku. Lecz Buck, jak i wszystkie psy, wiedział, co zaszło za pasmem drzew, rosnących nad brzegiem rzeki.

V. TRUDY SZLAKU

W trzydzieści dni po opuszczeniu Dawson poczta wieziona przez Bucka i jego towarzyszy, a przeznaczona do wysyłki morzem, przybyła do Skaguay. Cały zaprzęg był w najwyższym stopniu zmęczony i wyczerpany. Waga Bucka ze stu czterdziestu funtów spadła do stu piętnastu. Pozostałe psy, choć nie ważyły tyle, straciły stosunkowo więcej. Podstępny Pike, który w swym pełnym wykrętów życiu często udawał, że kuleje, teraz naprawdę okulał. Sol-leks kulał także, a Dub miał zwichniętą łopatkę.

Wszystkie psy miały poodbijane łapy. Straciły sprężystość i lekkość biegu. Stąpały ciężko po szlaku, a każdy krok boleśnie wstrząsał ich ciałem, podwajając zmęczenie całodzienną pracą. Właściwie nic im nie brakowało, odczuwały tylko śmiertelne znużenie. Nie było to znużenie, jakie występuje zwykle po krótkim, lecz wielkim wysiłku i mija w ciągu kilku godzin. Było to znużenie wynikające z długotrwałego nadużywania sił przez wiele miesięcy ciężkiej pracy. Utraciły zdolność regeneracji, zużyły cały zapas posiadanej energii — wszystko aż do ostatka. Każdy mięsień, każda tkanka, każda komórka ich ciał była zmęczona, śmiertelnie zmęczona. Nic dziwnego, w ciągu bowiem niespełna pięciu miesięcy przebyły dwa tysiące pięćset mil, a na ostatnie tysiąc osiemset mil drogi miały tylko pięć dni odpoczynku. Do Skaguay dobrnęły resztkami sił. Ledwo ciągnęły ładunek, a na zboczach z trudem unikały zsuwających się na nie sań.

— Marsz naprzód, biedne obolałe łapiska — zachęcał poganiacz, gdy psy wlokły się po głównej ulicy Skaguay. — Już niedaleko. Potem będzie długi odpoczynek. Może nie? Na pewno. Wspaniały, długi odpoczynek.

Poganiacze spodziewali się tym razem dłuższej przerwy w podróży. Przebyli tysiąc dwieście mil z dwudniowym odpoczynkiem i zarówno rozsądek, jak sprawiedliwość wskazywały, że należy im się odrobina próżniactwa. Lecz tak wielu mężczyzn pośpieszyło do Klondike i tak liczne były ich narzeczone, żony i rodziny pozostałe w domu, że stosy listów osiągnęły już niemal wysokość alpejskich szczytów. Co więcej, nadeszły pilne rozporządzenia władz. Psy nie nadające się do dalszej drogi należało zastąpić nowymi znad Zatoki Hudsona. Trzeba było pozbyć się bezużytecznych zwierząt, a ponieważ pies jest mniej ważny od dolara, postanowiono je sprzedać.

Minęły trzy dni i dopiero po ich upływie Buck i jego towarzysze poczuli, jak bardzo są zmęczeni i słabi. Czwartego dnia rano zjawili się dwaj mężczyźni ze Stanów, którzy kupili za grosze cały zaprzęg wraz z uprzężą. Mężczyźni ci mówili do siebie „Hal” i „Charles”. Charles

był jasnym blondynem w średnim wieku, o bezbarwnych, bladych oczach, z zawadiacko podkreconymi do góry wąsami, pod którymi kryła się obwisła warga, oznaka niedołęstwa. Hal był dziewiętnastoletnim czy dwudziestoletnim młodzieńcem, z wielkim coltem i nożem myśliwskim u pasa, wypchanego nabojami. W jego wyglądzie pas ten najbardziej zwracał uwagę. Świadczył o całkowitym, bezgranicznym niedoświadczeniu młodzieńca. Obaj mężczyźni wyraźnie nie pasowali do otoczenia, a dlaczego odważyli się wyruszyć na Północ, jest jedną z owych trudnych do rozwiązania zagadek.

Buck słyszał targowanie się, widział, jak pieniądze przechodzą z rąk obcego do rąk agenta rządowego, i zrozumiał, że Metys oraz pocztowi poganiacze znikną z jego życia, podobnie jak zniknął Perrault i François, i wielu innych.

Gdy Buck wraz z resztą zaprzęgu przybył do obozu nowych właścicieli, zobaczył panujący tam nieporządek i niechlujstwo: na wpół rozstawiony namiot, brudne naczynia — wszystko w nieładzie. Ujrzał także kobietę. Mężczyźni nazywali ją Mercedes. Była żoną Charlesa i siostrą Hala — dobrana rodzinka.

Buck przyglądał się z niepokojem, jak nowi jego właściciele zabierali się do zwijania namiotu i ładowania sań. Wkładali w to ogromny wysiłek, ale praca szła bez ładu i składu. Namiot zwinęli w niezdatny toboł, trzy razy większy niż należało. Błaznane naczynia zapakowali nie pozmywane. Mercedes stale kręciła się, przeszkadzając mężowi i bratu i zasypując ich gradem wymówek i rad. Gdy mężczyźni ułożyli worek z odzieżą na przodzie sań, uznała, że powinien znajdować się z tyłu. A gdy ułożyli go z tyłu i załadowali szereg innych tobołów na wierzch, Mercedes znalazła kilka zapomnianych rzeczy, które według niej należało zapakować koniecznie do tego właśnie worka. Musieli więc wszystko wyładować na nowo.

Z sąsiedniego namiotu wyszli trzej mężczyźni i przypatrywali się tej robocie, uśmiechając się i mrugając do siebie.

— Macie już całkiem niezły ładunek — odezwał się jeden z nich — i chociaż nie powinienem się wtrącać, ale na waszym miejscu nie zabierałbym ze sobą tego namiotu.

— To wykluczone! — zawołała Mercedes podnosząc ręce w kokieteryjnym przest్రachu.
— Jakże ja sobie poradzę bez namiotu?

— Już jest wiosna i mrozów więcej nie będzie — odpowiedział nieznajomy.

Potrząsnęła stanowczo głową, wobec czego Charles i Hal ułożyli ostatnie pakunki na górze tobołów.

— Myślicie, że się utrzyma? — spytał jeden z widzów.

— Dlaczego nie? — odparł sucho Charles.

— Dobrze, już dobrze — łagodnie odpowiedział nieznajomy. — Zdziwiłem się po prostu, to wszystko. Myślę, że sanie są trochę przeładowane.

Charles odwrócił się i zaczął zaciągać sznury, jak mógł najlepiej, co nie znaczyło bynajmniej, że robił to dobrze.

— No i naturalnie psy będą biegły cały dzień ciągnąc za sobą ten stos gratów — przygadywał drugi widz.

— Niewątpliwie — odparł Hal z lodowatą grzecnością. Chwycił jedną ręką za hamowidło, a drugą wymachiwał batem.

— Marsz! — zawołał. — Naprzód!

Psy szarpnęły uprzężą, napierały z całych sił przez chwilę, po czym zaprzestały wysiłku. Nie mogły ruszyć sań z miejsca.

— Co za leniwe bestie! Ja im pokażę. — krzyknął Hal zamierzając się batem.

Lecz Mercedes podbiegła do brata wołając: — O Hal, tak nie wolno! — i wyrwała mu bat z ręki. — Kochane biedactwa! Musisz mi obiecać, że będziesz się z nimi dobrze obchodził przez całą drogę, bo inaczej nie ruszę się ani na krok.

— Świetnie się znasz na psach — zadrwił Hal. — A w ogóle proszę cię, żebyś mnie zostawiła w spokoju. Mówię ci, są leniwe i tylko biciem można je do czegoś zmusić. Zawsze tak jest z psami. Spytaj kogokolwiek, choćby jednego z tych ludzi.

Mercedes spojrzała błagalnie na nieznajomych. Na jej ładnej twarzyczce malował się niewypowiedziany wstręt do okrucieństwa.

— Psy są bardzo osłabione, jeśli chcecie wiedzieć — odezwał się jeden z widzów. — Są doszczętnie wyczerpane. Potrzebują odpoczynku, nic więcej.

— Do diabła z odpoczynkiem — zaklął młokos, a Mercedes jęknęła dotknięta i zgorszona tym przekleństwem. Lecz solidarność rodzinna wzięła w niej górę i natychmiast stanęła w obronie brata.

— Nie zwracaj uwagi na tego człowieka — powiedziała uszczypliwie. — Psy są nasze, więc rób, co uważasz za słuszne.

Hal smagnął psy batem. Szarpnęły uprzężą, zaparły się łapami w ubity śnieg, pochyliły naprzód i pociągnęły z całej mocy. Sanie stały jak przykute. Po dwukrotnych próbach psy zaniechały wysiłków i stanęły dysząc ciężko. Bat świsnął dziko, lecz Mercedes ponownie przeszkodziła biciu. Łzy napłynęły jej do oczu, padła na kolana przed Buckiem i objęła go za szyję.

— Moje kochane biedactwa — zawołała ze współczuciem — dlaczego nie ciągniecie mocniej? Wtedy nikt by was nie bił.

Nie podobała się Buckowi, ale był już tak zmęczony, że bez sprzeciwu znosił jej czułości, uważając je za coś nieodzownego w tej przykrej pracy.

Jeden z widzów, który zaciskał zęby, żeby nie wybuchnąć przekleństwami, odezwał się nagle:

— Nic mnie nie obchodzi, co się z wami stanie, ale żal mi psów i tylko dlatego się odzywam. Płozy przymarzły do śniegu. Jak chcecie pomóc psom, musicie poruszyć sanie. Szarpnij mocno hamowidłem w prawo i w lewo, a sanie się oderwą.

Po raz trzeci Hal spróbował ruszyć, ale tym razem, usłuchawszy dobrej rady, oderwał przymarzniete płozy. Przeładowane i trudne do kierowania sanie ruszyły naprzód, a Buck z towarzyszami ciągnął je zapamiętałe pod gradem uderzeń. O sto jardów dalej dróżka skręcała i zbiegała stromo ku głównej ulicy. Tylko ktoś bardzo doświadczony potrafiłby utrzymać w równowadze tak wysoko załadowane sanie, a Hal doświadczony z pewnością nie był. Na zakręcie sanie przewróciły się i połowa za luźno przywiązanych tobołów spadła na ziemię. Psy nie zatrzymały się i wlokły częściowo uwolnione od ciężaru i leżące na boku sanie. Były rozwścieczone złym traktowaniem i zbyt ciężkim ładunkiem. Bucka ogarnął szal. Popędził naprzód, porywając za sobą cały zaprzęg. Hal krzychał „stój, stój” — lecz psy nie zwracały na niego uwagi. Potknął się i został zwalony z nóg. Przewrócone sanie przejechały po nim, a psy mknęły dalej ku radości mieszkańców Skaguay, rozrzucając po głównej ulicy resztki ekwipunku.

Wreszcie dobrzy ludzie zatrzymali zaprzęg i pozbierali rozsypane rzeczy. Udzielili także dobrych rad. — Połowa ładunku, podwójna ilość psów — mówili — jeżeli w ogóle chcecie dotrzeć do Dawson. — Hal, jego siostra i szwagier słuchali tego niechętnie, ale zatrzymali się, rozbili namiot i jęli przeglądać ekwipunek. Na widok puszek z konserwami przechodnie zaczęli się śmiać, gdyż konserwy na Długim Szlaku są rzeczą,

o której można tylko marzyć.

— Koców wystarczyłoby na cały hotel — orzekł ze śmiechem jeden z pomagających im mężczyzn. — Połowa byłoby za dużo. Musicie się ich pozbyć. Wyrzucicie namiot i te wszystkie naczynia — kto to będzie zmywał? Mój Boże, czy wy myślicie, że podróżujecie pulmanem?

W ten sposób nieubłaganie usuwano wszystko, co zbędne. Mercedes płakała, gdy jej worki z odzieżą ciśnięto na ziemię

i zaczęto wyrzucać z nich po kolei różne rzeczy. Opłakiwała wszystko razem, opłakiwała każdy poszczególny drobiazg.

Objęła rękami kolana i kiwała się w rozpacz. Twierdziła, że nie zrobi ani kroku, choćby dla całego tuzina Charlesów. Broniła każdej rzeczy odwołując się do wszystkich obecnych, wreszcie otarła łzy i zaczęła wyrzucać nawet najniezbędniejsze części garderoby. W zapale, gdy skończyła ze swoim workiem, zabrała się do odzieży brata i męża, rozrzucając ją niczym trąba powietrzna.

Po tym przeglądzie ekwipunek, choć zmniejszony do połowy, nadal ważył dużo. Hal i Charles kupili wieczorem sześć niedawno sprowadzonych psów. Dawny zaprzęg, składający się początkowo z sześciu psów, uzupełniony w Rink Rapids podczas rekordowej podróży dwoma husky, Teekiem i Kooną, wzrósł teraz do czternastu. Lecz nowe psy, chociaż wyszkolone już po przybyciu na Północ, nie przedstawiały wielkiej wartości. Trzy z nich były to krótkowłose pointery, jeden nowofundlandczyk i dwa nieokreślone mieszańce. Wydawało się, że ci przybysze nic nie umieją. Buck z towarzyszymi patrzył na nich z pogardą — i chociaż szybko narzucił im posłuch i nauczył, czego robić nie wolno, nie zdołał nauczyć ich tego, co i jak należy robić. Do pracy w uprzęży zabierały się niechętnie. Wszystkie, z wyjątkiem dwóch mieszańców, były oszołomione i złamane na duchu przez dzikość otoczenia i złe traktowanie. Mieszańce nie posiadały w ogóle żadnego ducha, nic się nie mogło w nich złamać — chyba jedynie kości.

Podróż nie zapowiadała się dobrze, gdyż nowe psy były bezradne i słabe, a stary zaprzęg wyczerpany po przebyciu dwóch i pół tysiąca mil. Charles i Hal byli jednak dobrej myśli. Byli także dumni. Oto wyruszają w drogę z fasonem z czternastoma psami. Widzieli inne sanie odjeżdżające przez przełęcz do Dawson lub wracające stamtąd, lecz nigdy nie widzieli zaprzęgu w czternastkę. Istniał jednak powód, dla którego w podróżach po krajach podbiegunowych nie używano czternastu psów do jednych sań, ten mianowicie, że jedne sanie nie mogą pomieścić żywności dla tylu zwierząt. Ale Charles i Hal nie wiedzieli o tym. Opracowali plan podróży z ołówkiem w rękę: tyle a tyle dziennie na psa, tyle a tyle psów, tyle a tyle dni — razem tyle a tyle — quod erat demonstrandum. Mercedes zaglądała im przez ramię, gdy robili te obliczenia, kiwając głową ze zrozumieniem. To było takie proste.

Nazajutrz późnym rankiem Buck ruszył ulicą na czele długiego zaprzęgu. Odbyło się to bez zwykłego ożywienia, gdyż zarówno Buck, jak i jego towarzysze nie mieli ani zapалу, ani sił. Rozpoczynali podróż śmiertelnie znużeni. Już cztery razy Buck przebył przestrzeń między morzem i Dawson, a świadomość, że teraz wycieńczony i słaby ma ją odbyć ponownie, napęliła go goryczą. Nie wkładał serca w pracę, podobnie jak i pozostałe psy. Przybysze byli nieśmiali i wystraszeni, a stary zaprzęg nie miał zaufania do swych właścicieli.

Buck czuł, że nie można polegać na tych dwóch mężczyznach i kobiecie. Nie umieli nic zrobić, a w miarę jak mijały dni, okazało się, że niczego się nie nauczą. Byli leniwi, nie uznawali porządku ani dyscypliny. Do późna w noc trwało rozbijanie niechlujnego obozu, do późnego ranka zwijali go i ładowali sanie w sposób tak nieporządny, że przez resztę dnia musieli co rusz zatrzymywać się i poprawiać ładunek. Bywało, że w ciągu dnia nie przebyli nawet dziesięciu mil. Czasami w ogóle nie mogli wyruszyć. A nigdy nie udało im się przebyć więcej niż połowę trasy, jaką przyjmuje się zwykle za podstawę przy obliczaniu żywności dla psów.

Musiało im w końcu zabraknąć żywności. Zresztą sami przyspieszyli głódówkę, przekarmiając początkowo psy. Nowe psy, które nie zaznawszy dotąd chronicznego głodu, nie nauczyły się jeszcze w pełni wykorzystywać skąpego pożywienia, były niezwykle żarłoczne. Ponadto Hal widząc, jak słabo ciągną wycieńczone husky, uznał, że normalna porcja jest za mała i podwoił ją. A na domiar złego, gdy Mercedes nie udało się, drżącym głosem i ze łzami w pięknych oczach, namówić brata na większe porcje, zaczęła wykradać ryby z worków i skrycie dokarmiać zaprzęg. Lecz psy nie tyle potrzebowały jedzenia, co odpoczynku. I chociaż posuwały się naprzód bardzo wolno, ciężki ładunek wyczerpywał ich siły.

Później zaczęło się niedożywianie. Hal zrozumiał pewnego dnia, że została im tylko połowa żywności dla psów, a przebyli zaledwie ćwierć drogi. Wiedział też, że za żadną cenę nie kupi nigdzie nowych zapasów. Zmniejszył więc nawet normalną porcję, próbując jednocześnie zwiększyć dzienny przebieg. Siostra ze szwagrem pomagali mu, ale wysiłki ich szły na marne wskutek ciężkiego ekwipunku i własnego niedołęstwa. Nic prostszego, jak dać psom mniejsze porcje, lecz nie sposób zmusić je do szybszego biegu. A ponieważ nie mogli zdobyć się na wcześniejsze wyruszanie z rana, nie zwiększyli ilości godzin podróży. Nie tylko nie umieli korzystać z pracy psów, ale także nie umieli sami pracować.

Pierwszy zginął Dub. Biedny, niezręczny złodziejasek, zawsze chwytny na gorącym uczynku i karany, mimo wszystko pracował wiernie w zaprzęgu. Jego zwichnięta łopatką, nie leczona i zaniedbana, dokuczała mu coraz bardziej, aż wreszcie Hal zastrzelił go ze swego wielkiego colta. Na Północy istnieje powiedzenie, że pies przybyły z obcych stron zdechnie z głodu na porcjach husky, toteż nowa szóstka Bucka musiała zginąć otrzymując tylko połowę tych porcji. Pierwszy zdechł nowofunlandczyk, za nim poszły trzy krótkowłose pointerzy i wreszcie dwa mieszańce, choć te najmocniej trzymały się życia.

W tym okresie podróży trójka wędrowców wyzbyła się całkowicie uprzejmości i łagodności Południa. Pozbawiona wszelkiego uroku i romantyzmu podróż po kraju Północy

stała się rzeczywistością zbyt straszną do zniesienia dla ludzi ich pokroju. Mercedes przestała płakać nad psami, gdyż była zbyt pochłonięta płaczem nad sobą i kłótniami z mężem i bratem. Kłócić się mogli zawsze, bez względu na zmęczenie. Rozdrażnienie ich powstało wskutek ciężkich warunków, a w miarę ich pogarszania się rosło i olbrzymiało. Wspaniała cierpliwość Szlaku udzielająca się ludziom, którzy pracują w bolesnym trudzie, lecz zachowują łagodność mowy i obejścia, nie udzieliła się tej trójce. Nie mieli pojęcia, że taka cierpliwość może istnieć. Byli sztywni ze zmęczenia i bólu. Bolały ich mięśnie, bolały kości, bolały serca. I dlatego ich mowa stała się gwałtowna, a ostre słowa padały od rana do wieczora.

Charles i Hal sprzeczekali się, gdy tylko Mercedes dawała im ku temu sposobność. Każdy z nich święcie wierzył, że pracuje więcej od drugiego, i żaden nie mógł powstrzymać się od podkreślania tego przy lada okazji. Czasem Mercedes trzymała stronę męża, kiedy indziej znów brata. Wynikały stąd budujące doprawdy i bezustanne kłótnie rodzinne. Zaczynało się na przykład od sprzeczeki, kto ma narąbać drzew na ognisko (sprzeczekka dotycząca tylko Charlesa i Hala), a po chwili wciągało się w nią resztę rodziny — ojców, matki, wujów, kuzynów — oddalonych o tysiące mil ludzi, z których część już nie żyła. To, że poglądy Hala na sztukę lub na rodzaj utworów dramatycznych pisanych przez wuję mogły mieć jakikolwiek związek z narąbaniem kilku szczap drzewa, przechodzi wszelkie wyobrażenie. Niemniej jednak kłótnia mogła równie dobrze potoczyć się w tym kierunku, jak w kierunku politycznych przesądów Charlesa. A to, że plotkarski język siostry Charlesa miał coś wspólnego z rozpalaniem ogniska nad Yukonem, było jasne tylko dla Mercedes, która używała sobie na ten temat, nie pomijając jednocześnie kilku innych nieprzyjemnych cech charakterystycznych rodziny męża. A tymczasem ognisko pozostawało nie rozpalone, obóz nie rozłożony, a psy nie nakarmione.

Mercedes żywiła jeszcze do świata szczególny żal — żal kobiety. Była ładna i delikatna i przez całe życie mężczyźni obchodzili się z nią po rycersku. Natomiast obecne zachowanie się męża i brata było dalekie od rycerskości. Bezradność stała się jej drugą naturą. Obaj mężczyźni skarżyli się na to. Wobec takiego pogwałcenia najbardziej zasadniczego w jej mniemaniu przywileju płci żeńskiej zaczęła zatruwać im życie. Przestała litować się nad psami, a ponieważ była zmęczona i obolała, upierała się przy jeździe saniami. Była ładna i delikatna, ale ważyła sto dwadzieścia funtów — była więc tą przysłowiową ostatnią kroplą dodaną do ładunku ciągniętego przez słabe i wygłodniałe zwierzęta. Jechała tak dzień po dniu, aż psy padały z wyczerpania unieruchamiając sanie. Charles i Hal prosili ją, by wysiadła

i szła pieszo, błagali, zaklinali, ale ona tylko płakała i zanudzała niebiosą opowieściami o męskiej brutalności.

Pewnego razu przemocą ściągnęli ją z sań — ale już nigdy więcej nie odważyli się tego zrobić. Mercedes udała, jak niegrzeczne dziecko, że nie może ustać na nogach, i siadła na śniegu. Mężczyźni poszli dalej, ale ona nie ruszała się z miejsca. Gdy przeszli trzy mile, zdjęli ładunek, wrócili po nią i przemocą wsadzili na sanie.

Wskutek własnych cierpień stali się nieczuli na cierpienia zwierząt. Hal wyznawał teorię, zwłaszcza w stosunku do innych, że trzeba nauczyć się wszystko znosić. Spróbował głosić ją wobec siostry i szwagra, ale nie udało mu się ich przekonać. Wobec tego zaczął wbijać psom tę teorię za pomocą pałki. W Five Fingers skończyła się żywność dla psów. Jakaś bezzębna stara Indianka dała podróżnym kilka funtów zamrożonej końskiej skóry w zamian za colta, który wraz z wielkim myśliwskim nożem wisiał dotąd u boku Hala. Jakże marną namiastką żywności była ta skóra ściągnięta przed pół rokiem z zagłodzonych koni, należących do jakichś handlarzy bydła. Zamrożona wyglądała jak blacha, a tając w żołądku psa zamieniała się w cienkie, niepożywne paski skóry z wielką ilością drażniącej i niestrawnej sierści.

W tych strasznych warunkach Buck włókł się na czele zaprzęgu jak w koszmarnym śnie. Ciągnął, jak tylko mógł. Gdy nie mógł, padał i leżał bez ruchu, dopóki bat czy pałka nie zmuszały go do wstania. Jego piękna sierść straciła połysk i puszystość. Ciało pokrywały zmierzwione kłaki, gdzieniegdzie zlepione zaschniętą krwią od razów Hala. Mięśnie stały się podobne do sznurków pokrytych supłami, a pod luźno wiszącą skórą rysowało się wyraźnie każde żebro i każda kość. Inne serce pękłoby dawno, lecz Buck miał serce niezłomne. Dowiódł tego w spotkaniu z człowiekiem w czerwonym swetrze.

Reszta psów znajdowała się w takim samym stanie. Były to chodzące szkielety. Pozostało ich siedem wraz z Buckiem. Wymęczone do ostatnich granic stały się nieczułe na uderzenia bata czy kija. Ból był jakby przytłumiony i odległy, podobnie jak wszystko, co widziały oczy i słyszały uszy, wydawało się mgliste i odległe. Nie były to już nawet na wpół żywe istoty. Pozostała z nich tylko skóra i kości z ledwie migoczącą wewnątrz iskierką życia. Na postoju psy padały w uprzęży jak martwe, a iskierka bladła, przygasła i zdawała się zamierać. Pod uderzeniem bata rozżarzała się nieco, psy dźwigały się na nogi i wlokły dalej.

Nadszedł dzień, gdy dobroduszny Billy upadł i nie mógł już wstać. Hal przehandlował rewolwer, wziął więc siekierę i zabił psa uderzeniem w głowę, nie wyprzegając go, po czym przeciął postronki i odciągnął martwego na bok. Widział to Buck i widzieli to jego towarzysze, i czuli, że to samo może ich spotkać lada chwila. Nazajutrz padła Kooną i pozostało ich tylko pięć: Joe zbyt słaby, żeby być złośliwym, Pike kulejący i na wpół

przytomny, nie myślący już o wykrętach; dalej Solleks, jednooki, wciąż wierny swej pracy w uprząży i smutny, że już ledwo jej może podolać; Teek, który tej zimy podróżował mniej od innych i który brał największe ciężki, gdyż był najsilniejszy; i wreszcie Buck, nadal na czele zaprzęgu, ale nie narzucający już dyscypliny ani nie próbujący jej narzucać. Na wpół ślepy z osłabienia, trzymał się szlaku widząc tylko jego mglisty zarys i wyczuwając go dotykiem łap.

Nastała piękna wiosna, lecz ani psy, ani ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy. Z każdym dniem słońce wschodziło wcześniej i zachodziło później. Świtało już o trzeciej, a zmrok zapadał dopiero o dziewiątej wieczór. Przez cały długi dzień prażyło słońce. Po ponurej zimowej ciszy zaczął rozbrzmiewać wszędzie wiosenny, radosny szept budzącego się życia. Szept ten unosił się nad całą ziemią. Szedł od stworzeń, które były jak martwe i nie ruszały się przez długie miesiące zimowe, a teraz ożyły i zaczęły się znowu poruszać.

Soki zaczęły krążyć w pniach sosen. Pączki pojawiały się na wierzbach i osikach. Krzewy i pnącza okryły się świeżą zielenią. Świerszcze świerkały po nocach, a w dzień wszystkie pełzające stworzenia sunęły z szelestem ku słońcu. Kuropatwy nawoływały się po zaroślach, a w lesie rozlegało się kucie dzięciołów. Wiewiórki gwarzyły między sobą, ptaki śpiewały, a w górze niósł się klangor dzikiego ptactwa, które leciało z południa kluczami, prując z szumem powietrze.

Z każdego zbocza dobiegał szmer strumyków — muzyka niewidzialnych fontann. Wszystko tajało, kruszyło się, pękało. Yukon próbował zerwać okowy lodowe. Szarpał je od spodu, a słońce topiło od góry. W lodzie powstawały szczeliny, które rozszerzały się stopniowo, aż wreszcie rzeka porywała całe tafle cienkiego lodu. A wśród tych żywiołowych przejawów budzącego się życia, w promieniach palącego słońca, owiewani łagodnym tchnieniem wiatru — dwaj mężczyźni, kobieta i psy sunęli ślaniając się jak korowód śmierci.

Dotarli wreszcie do obozu Johna Thorntona przy ujściu Białej Rzeki. Psy ledwo trzymały się na nogach, Mercedes płakała siedząc na saniach, Hal klął nieszkodliwie, a Charles spoglądał przed siebie załzawionymi oczyma. Gdy się zatrzymali, psy padły na ziemię jak martwe. Mercedes otarła oczy i spojrzała na Thorntona. Charles usiadł na kłodzie drzewa. Siadał powoli i z trudnością, gdyż był sztywny ze zmęczenia. Hal rozpoczął rozmowę w imieniu pozostałych. Thornton kończył właśnie strugać trzon siekiery z brzoźowego pieńka. Strugał i słuchał odpowiadając półsłówkami, a zapytany, udzielał zwięzłych rad. Znał ten gatunek ludzi i był przeświadczony, że i tak go nie usłuchają.

— Powiedziano nam w górze rzeki, że szlak jest już nie do przebycia i że lepiej byłoby przerwać podróż — odpowiedział Hal na ostrzeżenie Thorntona, że nie powinni ryzykować

jazdy po kruchym lodzie. — Mówiono nam, że nie dojedziemy do Białej Rzeki, a oto jesteśmy — dodał szyderczo, z odcieniem tryumfu w głosie.

— Słusznie wam mówili — odrzekł Thornton. — Lada chwila lody mogą ruszyć. Tylko głupcom z ich głupim szczęściem mogło się to udać. Mówię wam otwarcie, że nie zaryzykowałbym jazdy na takim lodzie za całe złoto Alaski.

— Widocznie dlatego, że nie jesteś głupcem — powiedział Hal. — Ale my mimo to pojedziemy do Dawson.

Rozwinął bat i zawołał: — Wstawaj, Buck! Hej! Wstawaj. Naprzód!

. Thornton strugał dalej. Wiedział, że na nic się nie zda sprzeciwić szaleńcowi w jego szaleństwie, a świat się nie zawali, jeśli kilku głupców zniknie z powierzchni ziemi.

Lecz zaprzęg nie podniósł się na rozkaz. Psy dawno już doszły do takiego stanu, że tylko bicie mogło je zmusić do posłuszeństwa. Bat świstał spadając bezlitośnie to tu, to tam. Thornton zacisnął usta. Pierwszy dźwignął się Sol-leks. Następnie Teek. Po nim Joe skowycząc z bólu. Z kolei usiłował powstać Pike. Dwa razy opierał się już na przednich łapach, dwa razy padał i dopiero przy trzeciej próbie udało mu się wstać. Buck nawet nie drgnął. Leżał spokojnie tam, gdzie upadł. Bat ciął go raz po raz, ale pies ani nie zaskomlał, ani się nie poruszył. Thornton kilkakrotnie otwierał już usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymywał. Oczy mu zwilgotniały, a gdy bicie nie ustawało, wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem z wyrazem niezdecydowania na twarzy.

Był to pierwszy wypadek, że Buck zawiódł, a już to samo wystarczało, aby doprowadzić Hala do wściekłości. Zamienił bat na pałkę. Lecz Buck nie poruszył się pod spadającym na niego gradem ciężkich ciosów. Podobnie jak towarzyszom, trudno mu było się dźwignąć, ale w przeciwieństwie do nich postanowił, że nie wstanie. Miał jakieś nieokreślone przeczucie grożącego niebezpieczeństwa. Opanowało go silnie w chwili, gdy dotarli do brzegu, i dotąd nie opuściło. Nie na próżno przez cały dzień czuł pod łapami cienki i kruchy lód — wydawało mu się, że nieszczęście jest bliska — właśnie tam, przed nimi, na lodzie, dokąd jego pan starał się go skierować. Nie chciał wstać. Tak bardzo się już nacierpiał, tak dalece był wycieńczony, że uderzenia nie sprawiały mu wielkiego bólu. A gdy ciosy nie ustawały, iskierka życia zamigotała i przygasła. Ledwo się już tliła. Odczuwał dziwne odrętwienie. Zdawał sobie sprawę, że go biją, ale miał wrażenie, że dzieje się to gdzieś daleko. Nie czuł już bólu. Nie odczuwał nic, ledwie słyszał odgłos uderzeń, spadających na jego ciało. Lecz nie było to już jego ciało, talk bardzo wydawało mu się obce.

A wtedy, nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wydając dziwny, niemal zwierzęcy krzyk, John Thornton rzucił się na bijącego. Hal runął w tył, jak gdyby pod naporem walącego się drzewa.

Mercedes krzyknęła. Charles bacznie się im przyglądał ocierając załzawione oczy, ale nie wstał, sztywny ze zmęczenia.

Thornton stanął nad Buckiem usiłując się opanować. Wściekłość odebrała mu mowę.

— Jeżeli jeszcze raz uderzysz tego psa, zabiję cię — zdołał wreszcie wykrztusić zdławionym głosem.

— To mój pies — odpowiedział Hal zbliżając się do Thorntona i ocierając zakrwawione usta. — Zejdź mi z drogi, bo cię trzasnę. Idę do Dawson.

Lecz Thornton stał między nim a Buckiem i ani myślał zejść mu z drogi. Hal wyciągnął z pochwy długi myśliwski nóż. Mercedes krzyczała, płakała i śmiała się na przemian, zdradzając wszystkie objawy hysterii. Thornton uderzył Hala trzonkiem siekiery po napiętku, wytrącając mu nóż z ręki. Uderzył raz jeszcze, gdy tamten usiłował podnieść nóż z ziemi. Po czym nachylił się, sam go podniósł i dwoma ruchami przeciął uprzęż Bucka.

Hal nie miał chęci do dalszej walki. Poza tym musiał zająć się siostrą, a Buck był tak bliski śmierci, że nie nadawał się już do ciągnięcia sań. W kilka minut później uparci wędrowcy zeszli wraz z zaprzęgiem z brzegu i skierowali się w dół rzeki. Buck usłyszał, że wyruszają, i podniósł głowę, aby zobaczyć ich odjazd. Pike prowadził, Solleks był przy saniach, a między nimi Joe i Teek. Psy kulały i potykały się. Mercedes siedziała na załadowanych saniach. Hal trzymał hamowidło, a Charles włókł się za nimi z tyłu.

Gdy Buck patrzył za odjeżdżającymi, Thornton ukląkł przy nim i szorstkimi palcami delikatnie badał, czy pies nie ma połamanych kości. Zanim się przekonał, że na ciele są jedynie ślady uderzeń i że Buck znajduje się tylko w stanie straszliwego wycieńczenia, zaprzęg był już w odległości około ćwierci mili. Pies i człowiek przyglądali się saniom, pełnym, wolno po lodzie. Nagle ujrzeni, że tył sań zapada się jak gdyby w jakieś zagłębienie, a hamowidło z uciepionym do niego Halem wznosi się gwałtownie w górę. Krzyk Mercedes dobiegł ich uszu. Zobaczyli, że Charles zawraca chcąc uciekać, lecz wtedy wielka tafła lodu poszła pod wodę i psy i ludzie zniknęli im z oczu. Pozostała tylko ziejąca pustką wyrwa w lodzie. Zimowy szlak przestał istnieć.

John Thornton i Buck spojrzeli po sobie.

— Mój ty biedaku — powiedział człowiek, a pies polizał mu rękę.

VI. Z MIŁOŚCI DO CZŁOWIEKA

Gdy John Thornton odmroził sobie nogi w grudniu poprzedniego roku, towarzysze zaopatrzyli go we wszystko, co mogło mu być potrzebne, i zostawili w obozie, aby wydobrzał. Sami zaś udali się w górę rzeki po drzewo, które mieli spławić do Dawson. Thornton kulał jeszcze lekko w chwili, gdy ratował Bucka, ale z nastaniem ciepłych dni nawet i ta dolegliwość minęła. Buck powoli odzyskiwał siły, leżąc przez całe długie wiosenne dni nad brzegiem rzeki, patrząc na płynącą wodę, słuchając leniwie śpiewu ptaków i innych odgłosów przyrody.

Odpoczynek bywa bardzo pożądanym po przebyciu trzech tysięcy mil, toteż Buck rozkoszował się lenistwem, a tymczasem goiły mu się rany, odradzały mięśnie, kości pokrywały się ciałem. Prawdę mówiąc, wszyscy próżnowali — Buck, John Thornton, Skeet i Nig — w oczekiwaniu na tratwę, którą mieli spłynąć do Dawson. Skeet była małym irlandzkim seterem i wcześniej zawarła przyjaźń z Buckiem, wtedy jeszcze, kiedy bliski śmierci nie mógł wziąć jej za złe pierwszych przyjaznych odruchów. Skeet miała dar leczenia spotykany u niektórych psów. I tak jak kotka myje swe kocięta, tak ona myła i oczyszczała rany Bucka. Regularnie każdego ranka, gdy Buck zjadł śniadanie, Skeet wykonywała swe dobrowolnie podjęte obowiązki, aż wreszcie Buck oczekiwał jej pielęgniarskich zabiegów tak niecierpliwie jak opatrunków Thorntona. Nig, również przyjacielski choć mniej wylewny, był wielkim czarnym psem, mieszańcem gończego ze szkockim chartem; miał śmiejące się oczy i niezwykle łagodne usposobienie.

Ku zdziwieniu Bucka oba psy nie były o niego zazdrosne. Sądzić by można, że udzieliła im się dobroć i szczodrość Thorntona. Gdy Buck nabrał sił, wciągały go do różnych śmiesznych zabaw i nawet sam Thornton nie mógł sobie odmówić przyjemności uczestniczenia w ich igraszkach. Tak więc Buck przebaraszkował okres rekonwalescencji i rozpoczął nowe życie. Miłość — prawdziwa, gorąca miłość — opanowała go po raz pierwszy. Tego uczucia nie doznał nigdy w domu sędziego Millera w odległej, zalanej słońcem dolinie Santa Clara. Gdy polował i wędrował z synami sędziego, łączył go z nimi stosunek koleżeńskiej współpracy, z wnukami sędziego — jak gdyby ojcowskiej opieki, a z samym sędzią — poważna i stateczna przyjaźń. Lecz dopiero John Thornton wzbudził w nim miłość gorącą i płomienną, miłość, która była uwielbieniem, która była szaleństwem.

Człowiek ten uratował mu życie, a to już było. wiele. Ale prócz tego był wymarzoną panem. Inni ludzie dbali o psy z poczucia obowiązku i dla dobra interesu. On dbał o swoje,

jak gdyby były jego dziećmi, ponieważ nie potrafił inaczej. I jeszcze coś ponadto. Nigdy nie zapominał o przyjaznym powitaniu lub słowach zachęty, a gdy zasiadał do długiej rozmowy z nimi (nazywał to gawędą), widać było, że sprawia mu to taką samą przyjemność jak jego czworonożnym towarzyszom. Miał zwyczaj brać mocno łeb Bucka w obie dłonie, opierać na nim głowę i szarpać go w różne strony, jednocześnie obrzucając przekleństwami, które dla psa brzmiały jak najczulsze słowa. Buck nie znał większej radości niż ów brutalny uścisk i dźwięk szeptanych przekleństw, a za każdym szarpnięciem miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi, tak wielkie było jego szczęście. A gdy uwolniony z uścisku zrywał się z pyskiem roześmianym, z oczami pełnymi wyrazu, z gardłem rozedrganym od tłumionych dźwięków, i tak zastygał w bezruchu, John Thornton wołał z szacunkiem: — Na Boga, brakuje ci tylko mowy!

Buck miał zwyczaj wyrażać swą miłość w sposób nieomal bolesny. Często chwycił w pysk rękę Thorntona i tak mocno ją ścisnął, że na ciele pozostawały przez dłuższy czas ślady zębów. Lecz podobnie jak pies rozumiał, że przekleństwa są miłosnymi słowami, tak człowiek rozumiał, że te bolesne chwytaki są pieszczotą.

Przeważnie jednak miłość Bucka wyrażała się uwielbieniem. Chociaż szalał ze szczęścia, gdy Thornton dotykał go lub przemawiał do niego, sam nie upominał się nigdy o pieszczoty. W przeciwieństwie do Skeet, która miała zwyczaj wpychać pysk pod rękę Thorntona i trącać go dopóty, dopóki jej nie pogłaskał, lub do Niga, który podchodził i kładł mu swój wielki łeb na kolanach, Buckowi wystarczała adoracja z oddali. Mógł leżeć godzinami u stóp swego pana, czujny, oddany, wpatrzony w jego twarz, badając ją, śledząc z największym zainteresowaniem każdą przelotną myśl, każdy ruch lub każdą zmianę w wyrazie. Zdarzało się też, że leżał w pewnej odległości, z boku lub z tyłu, przyglądając się postaci mężczyzny i pilnując jego każdego poruszenia. A tak wielka była ich przyjaźń, że często siła wzroku Bucka zmuszała Thorntona do odwrócenia głowy. Patrzyli wtedy na siebie bez słowa, z miłością malującą się zarówno w oczach człowieka, jak i psa.

Przez dłuższy czas po wyratowaniu Buck starał się nie spuszczać Thorntona z oczu. Od chwili, gdy jego pan wychodził z namiotu, aż do chwili, gdy doń powracał, pies chodził za nim krok w krok. Ciągłe zmiany właścicieli, odkąd znalazł się na Północy, wzbudziły w Bucku obawę, że żaden pan nie jest wieczny. Bał się, że Thornton zniknie z jego życia, tak jak zniknęli Perrault i François, i szkocki Metys. Nawet w nocy, we śnie, prześladował go ten strach. Otrząsał się wtedy ze snu i nie zważając na chłód podpełzał pod wejście do namiotu, gdzie zatrzymywał się i słuchał oddechu swego pana. Pomimo jednak wielkiej miłości do Thorntona, która świadczyła o łagodzącym wpływie cywilizacji, pierwotne cechy,

rozbudzone przez kraj Północy, nadal pozostawały w Bucku żywe. Zachował wierność i oddanie, zrodzone przy domowym ognisku, ale zachował też jednocześnie dzikość i przebiegłość. Był dzikim stworzeniem, które przyszło z dzikiej puszczy, by sięść przy ognisku Thorntona, a nie psem z ciepłego Południa o cechach odziedziczonych po licznych cywilizowanych pokoleniach. Wielka miłość do Thorntona nie pozwalała mu okradać swego pana, ale bez chwili wahania okradał każdego innego człowieka w każdym innym obozie, a robił to z taką chytrą, że nigdy nie został przyłapany.

Pysk i ciało Bucka poznaczone były bliznami, świadczącymi o licznych walkach. Walczył nadal z równą zaciętością, ale

i z większą przebiegłością niż dawniej. Skeet i Nig byli zbyt dobroduszni, żeby z nimi zadzierać, zresztą należeli do Thorntona. Ale każdy obcy pies, bez względu na rasę czy dzielność, musiał szybko uznać przewagę Bucka, gdyż w przeciwnym razie czekała go walka na śmierć i życie ze strasznym przeciwnikiem. A Buck był bezlitosny. Dobrze znał prawo pięści i kłów, zawsze wykorzystywał swoją przewagę i nigdy nie przerywał walki, dopóki śmierć nie zabrała wroga. Nauczył się tego od Szpica i najdzielniejszych psów policyjnych i pocztowych; wiedział, że nie można nic robić połowicznie. Musi zwyciężyć lub być zwyciężonym, a litość jest tylko dowodem słabości. Litość nie istniała w czasach pierwotnych. Uważano ją za strach, a strach prowadzi do śmierci. Zabić lub być zabitym, pożreć lub być pożartym — to było prawo. I temu nakazowi, pochodzącemu z głębin czasu, Buck był posłuszny.

Starszy był niż dni, które przeżył, niż ilość oddechów, którymi mierzyło się jego życie. Połączył w sobie przeszłość z terażniejszością, ulegał wiecznemu, potężnemu rytmowi — rytmowi, któremu ulegają przyływy i odpływy, i pory roku. Siedział oto przy ognisku Thomntona pies o potężnej piersi,

o białych kłach i długiej sierści. Lecz za nim snuły się cienie przeróżnych psów, półwilków i wilków — niespokojne, niecierpliwie, czujące smak mięsa, które jadł, łaknące wody, którą pił. Cienie, które węszyły razem z nim i mówiły mu o odgłosach dzikiego życia puszczy, które kierowały jego czynami, układały się do snu i śniły razem z nim, i stawały się jednocześnie przedmiotem jego snów.

Tak silnie wabiły go te cienie, że z każdym dniem ludzie i ich potrzeby stawały mu się coraz bardziej obce. Daleko z głębi puszczy rozbrzmiewał zew, a gdy tylko Buck usłyszał to wołanie, podniecające i kuszące tajemniczo, porzucał ognisko i ubitą wkoło niego ziemię i pędził do lasu, coraz dalej i dalej, nie wiedząc dokąd ani po co. Nie zastanawiał się dokąd ani po co, ilekroć zew zabrzmiał rozkazująco z głębi puszczy. Lecz gdy dotykał łapami

dziewiczej ziemi daleko w zielonej gęstwinie, miłość do człowieka kazała mu wracać do ogniska.

Jedynie Thornton wiązał go ze światem ludzi. Pozostali ludzie nie istnieli dla niego. Przygodni podróżnicy mogli go chwalić lub głaskać, ale pies przyjmował to chłodno, a gdy ktoś był zbyt wylewny w swych uczuciach, Buck wstawał i odchodził. Kiedy dawno oczekiwani towarzysze Thorntona, Hans i Pete, przybyli na tratwie, Buck nie raczył ich zauważyć, dopóki nie zrozumiał, że są przyjaciółmi jego pana. Później tolerował ich i przyjmował łaskawie ich względy. Podobni w typie do Thorntona, byli to ludzie żyjący blisko natury, prości i bezpośredni. A zanim przybili tratwą do przystani przy tartaku w Dawson, poznali Bucka i jego zwyczaje, i już nie dążyli do osiągnięcia takiej zażyłości, jaka łączyła ich ze Skeet i Nigiem.

Ale miłość do Thorntona zdawała się wzrastać w sercu Bucka. On jeden mógł objąć grzbiet psa ładunkiem podczas letnich podróży. Nie było takiego żądania, którego by Buck nie spełnił na rozkaz swego pana.

Pewnego dnia, gdy otrzymawszy pieniądze za drzewo i zaopatrzwszy się w żywność wyruszyli z Dawson do źródeł rzeki Tanana, ludzie i psy odpoczywali na szczycie skały, która wznosiła się stromo nad kamienistym wąwozem, położonym

o trzysta stóp w dół. Thornton siedział niedaleko skraju urwiska z Buckiem u swego boku. Nagle przyszedł mu do głowy bezmyślny kaprys. Powiedział towarzyszom, że chce wypróbować psa.

— Skacz, Buck! — zawołał wskazując ręką przepaść.

A za chwilę szamotał się z psem nad samym skrajem urwiska, zanim Hans z Petem zdolali odciągnąć ich obu w bezpieczne miejsce.

— To niesamowite! — powiedział Pete po chwili, gdy odzyskał mowę.

Thornton potrząsnął głową. — Nie, to wspaniałe, a zarazem straszne. Wiecie, czasem mnie to nawet przeraża.

— Nie chciałbym być na miejscu tego człowieka, który ciebie zaatakuje, gdy on będzie w pobliżu — oświadczył Pete z przekonaniem, wskazując głową Bucka.

— Ja też nie, u diabła! — dodał Hans.

Obawy Peta sprawdziły się w Circle City pod koniec tego roku.

Gdy „Czarny” Burton, złośliwy zabijaka, wszczął kłótnię z jakimś nowicjuszem w barze, Thornton wtrącił się dobroduszenie, chcąc ich pogodzić. Buck swoim zwyczajem leżał w kącie z łbem złożonym na łapach, pilnując każdego ruchu swego pana. Nagle Burton bez żadnego ostrzeżenia zamierzył się

i mocno uderzył Thorntona. Ten zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie chwycił za poręcz przy ladzie baru.

Otoczający ich ludzie usłyszeli nagle głos, który nie był ani szczeknięciem, ani warknięciem, lecz czymś, co da się jedynie określić jako ryk, i ujrzeli, jak Buck oderwał się błyskawicznie od podłogi i jednym skokiem rzucił się do gardła Burtonowi. Ten instynktownie zasłonił szyję ramieniem i dzięki temu uratował życie, ale runął na wznak, przytłoczony ciężarem psa. Buck puścił ramię Burтона, sięgając znowu do gardła. Tym razem człowiek nie zdołał się dobrze zasłonić i pies rozdarł mu szyję. Wtedy tłum rzucił się i oderwał Bucka od ofiary. Ale nawet gdy już chirurg tamował krew, pies krążył pod drzewami, groźnie warcząc i próbując wdrzeć się do izby, dopóki nie został odpędzony gradem ciosów. Zwołano natychmiast „sąd kopaczy”, który jednak orzekł, że pies został sprowokowany i że należy go uniewinnić. Czynem tym Buck zyskał sobie takie uznanie, iż sława jego imienia dotarła do wszystkich obozów Alaski.

W jakiś czas później, jesienią tego roku, Buck w inny sposób ocalił życie swemu panu. Thornton i jego towarzysze przeprowadzali za pomocą lin długą i wąską łódź przez najgorszy odcinek progów wodnych na rzece Czterdziestu Mil. Hans i Pete szli wzdłuż brzegu przeciągając cienką linę od drzewa do drzewa, by przytrzymać łódź, a Thornton, stojąc w niej z żerdzią w ręku, nadawał jej kierunek i wykrzykiwał wskazówki. Buck, zmartwiony i niespokojny, biegł równoległe z łodzią, nie spuszczać oczu ze swego pana.

W jednym szczególnie niebezpiecznym miejscu, gdzie ledwie przykryte wodą skały przecinały łożysko rzeki, Hans rozluźnił linę i podczas gdy Thornton spychał łódź żerdzią na środek nurtu, biegł wzdłuż brzegu z końcem liny w ręku, zamierzając przyciągnąć łódź, gdy tylko minie progi. Skoro tylko łódź pokonała przeszkody, pomknęła z prądem jak strzała. Hans ściągnął linę, ale uczynił to zbyt gwałtownie. Łódź wywróciła się i popłynęła ku brzegowi dnem do góry, a Thorntona, który wpadł do wody, porwał silny prąd i zaczął znosić na najgorszy odcinek progów, gdzie dziko wzburzone fale stanowiły przeszkodę nie do przebycia dla najlepszego nawet pływaka.

Buck w mgnieniu oka skoczył do rzeki. Przepłynąwszy trzysta jardów dotarł do Thorntona, który znajdował się już w samym środku skłębionego wściekle wiru. Gdy tylko Buck poczuł, że Thornton chwycił go za ogon, popłynął do brzegu prując wodę swą potężną pierśią. Zbliżał się doń jednak bardzo powoli, a tymczasem prąd znosił go z wielką szybkością w dół rzeki, do miejsca, skąd dochodził groźny ryk żywiołu, gdzie dziki prąd stawał się jeszcze dzikszyszy, a fale rozbryzgiwały się i rozbijały o skały, sterczące w rzece jak zęby olbrzymiego grzebienia. Rwąca siła wody przed ostatnim wysokim progiem była

przerazająca i Thornton wiedział, że nie zdołają dopłynąć do brzegu. Udało mu się przepłynąć ponad, jedną skałą ledwo otarłszy się o nią, potem przetoczył się odbijając boleśnie o drugą i wreszcie szalona siła prądu rzuciła go wprost na trzecią. Puścił psa, chwycił obiema rękami za oślizły wierzchołek skały i krzyknął, zagłuszając huk wodospadu: — Do brzegu, Buck! Do brzegu!

Buck nie mógł się zatrzymać. Znoszony prądem walczył rozpaczliwie, lecz nie zdołał zawrócić. Gdy usłyszał po raz drugi rozkaz Thorntona, wyskoczył nieomal z wody wznosząc łeb do góry, jak gdyby chciał obdarzyć swego pana ostatnim spojrzeniem, po czym posłusznie skierował się do brzegu. Płynął z całych sił, a Hans z Petem wyciągnęli go na brzeg w miejscu, poza które nikt już nie mógł wypłynąć i gdzie każdemu groziła zagłada.

Hans i Pete wiedzieli, że nikt nie zdoła utrzymać się na śliskiej skale wśród rwącego prądu dłużej niż kilka minut, toteż co tchu pobiegli brzegiem w górę rzeki do miejsca dość odległego od skały, do której uczepiony był Thornton. Tam założyli linę holowniczą na szyję i barki Bucka w taki sposób, żeby nie dusiła go ani nie krępowała ruchów w wodzie, i kazali psu płynąć. Buck popłynął odważnie, ale nie licząc się z siłą prądu obrał zły kierunek. Odkrył swój błąd za późno, gdy bezradnie znoszony przez prąd mijał Thorntona w odległości kilku kroków.

Hans zaczął szybko zwijać linę, jakby miał do czynienia z łodzią. Naprężona lina szarpnęła Bucka i wciągnęła pod wodę, pod wodą też pozostał, dopóki nie wyciągnięto go na brzeg. Był na wpół żywy, lecz Hans i Pete rzucili się go ratować, wygniatając z niego wodę i wciskając mu powietrze do płuc. Usiłował wstać, ale nie mógł utrzymać się na nogach. Wtem dobiegł ich ledwo dosłyszalny głos Thorntona, a chociaż nie mogli rozróżnić słów, wiedzieli, że jest już u kresu sił. Głos pana podziałał na Bucka jak prąd elektryczny. Zerwał się i wyprzedziwszy ludzi pobiegł do miejsca, skąd przed chwilą skakał do wody.

Znowu założyli mu linę i znowu popłynął, lecz tym razem prosto ku głównemu nurtowi rzeki. Raz popełnił błąd i więcej go nie powtórzy. Hans rozwijał linę uważając, żeby była stale napięta, podczas gdy Pete pilnował, aby jej drugi koniec się nie poplątał. Buck płynął przed siebie, dopóki nie znalazł się na wprost Thorntona. Wtedy zmienił kierunek i z wielką szybkością popłynął prosto do swego pana. Thornton widział, jak nadpływa i gdy Buck, gnany potężnym prądem, wpadł na niego niczym taran, wyciągnął ręce i objął kudłatą szyję psa.

Hans owinął linę dookoła drzewa, a wtedy nagle szarpnięcie wepchnęło Bucka z Thorntonem pod wodę. Z trudem łapiąc oddech, dusząc się, to jeden na wierzchu, to drugi,

wleczeni po kamienistym dnie, rzucani o podwodne pnie i skały, znaleźli się wreszcie na brzegu.

Hans i Pete przewiesili Thorntona przez kłodę starając się wycisnąć z niego wodę i przywrócić mu oddech. Zaledwie Thornton otworzył oczy, odszukał wzrokiem Bucka, nad którego bezwładnym i pozornie martwym ciałem wyl Nig, a Skeet lizała mokry pysk i zamknięte oczy wiernego psa. Gdy Buck przyszedł do siebie, Thornton, choć sam mocno potłuczony i pokaleczony, starannie go zbadał.

Okazało się, że ma złamane trzy zębra.

— To przesądza sprawę — oświadczył. — Tu rozbijemy obóz.

I pozostali w tym miejscu, dopóki zębra Bucka całkowicie się nie zrosły i nie stał się zdolny do dalszej drogi.

Tej zimy Buck dokazał w Dawson jeszcze jednego wielkiego czynu, który może nie był tak bohaterki, ale wślawił jego imię na całą Alaskę. Czynem tym Buck przysłużył się też bardzo Thorntonowi i jego towarzyszom, gdyż dzięki niemu zdobyli niezbędny ekwipunek i mogli wyruszyć w dawno upragnioną podróż na dziewiczy Wschód, dokąd nie dobrnęli jeszcze poszukiwacze złota. A zaczęło się wszystko od pewnej rozmowy w szynku „Eldorado”, gdzie mężczyźni zachwalali swoje ulubione psy. Buck, znany z chwalebnych czynów, stał się przedmiotem napaści, a Thornton bronił go zajadle. Po półgodzinnej sprzeczce jeden z obecnych oświadczył, że jego pies potrafi ruszyć z miejsca i pociągnąć sanie z pięćsetfuntowym ładunkiem. Drugi przechwalał się, że jego pies uciągnie sześćset funtów, a trzeci — że siedemset.

— Wielkie rzeczy! — odezwał się Thornton. — Buck potrafi ruszyć tysiąc funtów.

— Może jeszcze sam ruszy z miejsca przymarznięte sanie i pociągnie sto jardów, co? — spytał Matthewson, „król Bonanzy”, ten, który przechwalał się, że jego pies pociągnie siedemset funtów.

— Tak, sam ruszy z miejsca przymarznięte sanie i pociągnie przez sto jardów — chłodno odparł Thornton.

— No cóż — rzekł Matthewson powoli i dobitnie, tak aby go wszyscy słyszeli. — Stawiam tysiąc dolarów, że nie pociągnie. Oto one, — To mówiąc cisnął na ladę worek złotego piasku wielkości sporego baleronu.

Zapadła cisza. Thorntonowi na jego przechwałkę — jeśli była to przechwałka — odpowiedziano wyzwaniem. Poczul, jak fala gorącej krwi zalewa mu twarz. Poniósł go język. Nie miał pojęcia, czy Buck zdoła pociągnąć tysiąc funtów. Pół tony! Ogrom tej wagi przerażał go. Wierzył wprawdzie głęboko w siły Bucka i niejednokrotnie myślał, że pies

potrafi ruszyć taki ładunek, ale nigdy jeszcze nie stanął wobec konieczności wystawiania go na tego rodzaju próbę. Czuł na sobie wzrok kilkunastu mężczyzn zastygłych w pełnym oczekiwaniu milczeniu. Co więcej, nie miał tysiąca dolarów i nie mieli ich także ani Hans, ani Pete.

— Przed domem stoją moje sanie z dwudziestoma workami mąki po pięćdziesiąt funtów każdy — ciągnął dalej Matthewson z brutalną natarczywością — więc o to nie potrzebujesz się martwić.

Thornton milczał. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Roztargniony, wodził wzrokiem po otaczających go twarzach jak człowiek, który stracił zdolność myślenia i szuka czegoś, co mogłoby mu ją przywrócić. Wzrok jego padł na twarz Jima O'Briena, innego „króla” poszukiwaczy złota, a swojego towarzysza z dawnych czasów. Znalazł w niej jak gdyby zachętę, jak gdyby pobudkę do czynu, na który sam by się nigdy nie odważył.

— Czy możesz mi pożyczyć tysiąc dolarów? — spytał niemal szeptem.

— Naturalnie — odpowiedział O'Brien rzucając pękaty worek na ladę obok worka Matthewsona. — Chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo wierzę, Johnnie, żeby pies mógł dokazać takiej sztuki.

Wszyscy goście z „Eldorado” wylegli na ulicę, aby być świadkami próby. Stoły gry opustoszały, a gracze przyłączyli się do tłumu, żeby zobaczyć wynik zakładu i samym porobić zakłady na boku. Kilkuset ludzi w futrach i rękawicach otoczyło szerokim kołem sanie Matthewsona, załadowane tysiącem funtów mąki. Sanie te stały w miejscu przez kilka godzin, a wskutek silnego mrozu (sześćdziesiąt stopni poniżej zera) płozy mocno przymarzły do ubitego śniegu. Zakładano się dwa przeciw jednemu, że Buck nie zdoła ruszyć sań. Wybuchła sprzeczka o znaczenie słów „ruszyć z miejsca”. O'Brien twierdził, że Thornton ma prawo oderwać płozy, a wtedy dopiero Buck musi ruszyć sanie z miejsca. Matthewson upierał się, że słowa te oznaczają także oderwanie przymarzniętych do śniegu płóz. Większość świadków zakładu przyznała rację Matthewsonowi, wobec czego stawiano teraz trzy przeciw jedne, mu, że Buck nie da rady.

Nie było chętnych do stawiania na Bucka. Nikt nie wierzył, że może tego dokonać. Thornton przyjął zakład bez zastanowienia i już wtedy miał poważne wątpliwości; patrząc zaś teraz na sanie z ich normalnym zaprzęgiem dziesięciu psów leżących na śniegu, uznał to zadanie za niewykonalne. Matthewson zaczynał tryumfować.

— Trzy do jednego — zawołał do Thorntona. — W tym stosunku stawiam drugi tysiąc, co ty na to?

Na twarzy Thorntona odmalowała się niepewność, ale obudził się w nim już duch bojowy, który wzbija się ponad przeciwności, nie uznaje rzeczy niemożliwych i jest głuchy na wszystko prócz zewu walki. Thornton przywołał Hansa i Peta.. Worki ich były prawie puste i wszyscy razem zdołali uzbierać zaledwie dwieście dolarów. W obecnym okresie niepowodzenia suma ta stanowiła cały ich majątek, jednakże postawili ją bez wahania przeciw sześciuset dolarom Matthewsona.

Wyprężnięto dziesiątkę psów z sań i na ich miejsce Thornton zaprzął Bucka w jego własnej uprzęży. Psu udzieliło się ogólne podniecenie. Czuł, że musi dokonać czegoś wielkiego dla Thorntona. Na widok wsp"aniałego zwierzęcia rozległ się szmer podziwu. Buck był w doskonałej kondycji, nie miał na sobie ani jednej uncji niepotrzebnego tłuszczu i ważył sto pięćdziesiąt funtów, a każdy z tych funtów przyczyniał się do jego siły i tężyzny. Puszyste futro lśniło jak. jedwab. Długa sierść na szyi i grzbiecie jeżyła się z lekka i zdawała unosić przy każdym ruchu, jak gdyby nadmiar żywotności udzielał się każdemu pojedynczemu włosowi. Szeroka pierś i potężne przednie łapy harmonizowały z resztą tułowia, a wspaniałe mięśnie prężyły się pod skórą. Ludzie dotykali tych mięśni wołając, że są twarde jak stal, i stawki zakładów spadły na dwa przeciw jednemu.

— Do licha, panie! Do licha! —zwrócił się jękając do Thorntona członek najmłodszej dynastii bogaczy, ze Skookum. Benches. — Daję za niego osiemset, panie, przed próbą. Osiemset, tak jak stoi.

Thornton potrząsnął przecząco głową i podszedł do Bucka.

— Nie wolno ci stać koło psa — zaprotestował Matthewson. — Zostaw mu swobodę ruchów i dużo wolnego miejsca.

W tłumie zapadło milczenie. Słysząc było tylko głosy hazardujących się graczy, którzy na próżno ofiarowywali stawki dwa do jednego. Wszyscy przyznawali, że Buck jest wspaniałym psem, ale dwadzieścia pięćdziesięciofuntowych worków mąki urosło w ich oczach do. takich rozmiarów, że bali się rozwiązać sakiewki.

Thornton uklęknął przy Bucku. Ujął jego łeb w ręce i przytulił policzek do pyska. Nie potrząsał psem, jak zwykł był robić przy zabawie, ani nie szeptał czułych przekleństw, leczmówił mu cicho do ucha: — Jeśli mnie kochasz, Buck, jeśli mnie kochasz — tak brzmiały jego słowa. Buck zaskomlał radośnie z tłumionym - zapalem.

Tłum przyglądał się z zaciekawieniem. Sytuacja stawała się tajemnicza. Zakrawało to na czary. Gdy Thornton- powstał z klęczek, Buck chwycił zębami jego rękę i lekko ścisnął, po czym powoli i jakby niechętnie rozluźnił chwyt. Była to odpowiedź bez słów, wyrażająca miłość. Thornton cofnął się o kilka kroków.

— Uwaga, Buck — powiedział.

Buck naciągnął postronki, potem zluźnił je o kilka cali. Był to sposób, którego się nauczył.

— W prawo! — głos Thorntona zadźwięczał ostro w pełnej napięcia ciszy.

Buck skoczył w prawo i gwałtownie pociągnął sanie, lecz wtedy naprężone postronki nagłym szarpnięciem zatrzymały jego potężne ciało. Jednocześnie ładunek drgnął, a spod płóz rozległo się suche skrzypnięcie.

— W lewo! — zawołał Thornton.

Buck powtórzył manewr, tym razem w lewo. Skrzypnięcie przeszło w trzask. Sanie obróciły się z lekka, a płozy przesunęły ukośnie w bok o kilka cali. Oderwały się od lodu. Ludzie bezwiednie wstrzymali oddech.

— Teraz naprzód!

Rozkaz Thorntona zagrział jak wystrzał z pistoletu. Buck rzucił się naprzód, naciągając postronki gwałtownym szarpnięciem. Całe jego ciało sprężyło się w potężnym wysiłku, mięśnie kurczyły się i wiły jak żywe pod jedwabistym futrem.

Szeroką pierś dotykał niemal ziemi, łeb wysunął naprzód, a łapami przebierał z dziką wprost szybkością, żłobiąc pazurami równoległe rowki w twardym śniegu. Sanie drgnęły, zachybotały się, już, już ruszały z miejsca. Nagle Buck pośliznął się, któryś z mężczyzn jęknął. Potem sanie zaczęły sunąć naprzód ruchem złożonym jak gdyby z krótkich gwałtownych szarpnięć i już nie zatrzymały się więcej... pół cala... cal... dwa cale... Szarpnięcia zmniejszały się wyraźnie. Gdy sanie nabrały rozpędu, pies pociągnął równo, dopóki nie zaczęły sunąć płynnie po śniegu.

Widzowie odetchnęli głęboko nie zdając sobie sprawy, że przez chwilę wstrzymywali oddech. Thornton biegł za psem zagrzewając go słowami pełnymi otuchy. Odległość przewidziana zakładem została już przedtem wymierzona. Gdy Buck zbliżał się do stosu drzewa, oznaczającego metę, zaczęły wznosić się radosne okrzyki — coraz głośniejsze i głośniejsze, aż wreszcie, kiedy minął stos i zatrzymał się na rozkaz, zabrzmiał jeden ogłuszający ryk. Wszystkich ogarnął szal, nawet Matthewsona. Czapki i rękawice fruwały w powietrzu. Nieznajomi ściskali się za ręce i gadali jeden przez drugiego w ogólnym radosnym zamieszaniu.

Thornton ukląkł przy Bucku. Głowę przytulił do jego łba i szarpał go swoim 'zwyczajem na wszystkie strony. Ci, którzy nadbiegli, usłyszeli, że przeklinał psa, przeklinał długo, żarliwie, czule.

— Do licha, panie! Do licha! — wyjąkał bogacz ze Skookum Benches. — Dam tysiąc za niego, tysiąc, panie, tysiąc... tysiąc dwieście...

Thornton podniósł się z klęczek. Oczy miał mokre. Nie wstydził się łez, które spływały mu po twarzy.

— Panie — brzmiała jego odpowiedź. — Nie, panie. Idź pan sobie do diabła, panie! To moja jedyna rada, panie.

Buck chwycił zębami rękę Thorntona. Ten potrząsnął psem po swojemu. Widzowie, jakby poruszeni jedną myślą, cofnęli się z szacunkiem i już więcej nie śmieli przeszkadzać.

VII. GDY ZABRZMIAŁ ZEW

Zarabiając w ciągu pięciu minut tysiąc sześćset dolarów, Buck umożliwił swemu panu spłacenie długów i podróż ze współnikami na Wschód w celu poszukiwania zagubionej bez śladu żyły złota, o której krążyły legendy i której historia była równie stara jak historia tego kraju. Wielu już jej szukało, niewielu znalazło. Za to liczni byli ci, którzy z tych poszukiwań nigdy nie wrócili. Historia tej żyły była przesiąknięta tragedią i okryta tajemnicą. Nikt nie wiedział, kto pierwszy ją odkrył, gdyż najstarsze opowieści pokrywały to milczeniem. Stała tam, odkąd pamięć sięga, stara i na wpół rozwalona chata. Ludzie na łożu śmierci przysięgali, że kto znalazł do niej drogę, ten znajdował również i kruszec. Na potwierdzenie pokazywali bryłki złota, takie, jakich nie spotykano nigdzie indziej w krainie Północy.

Lecz żadnemu z pozostałych przy życiu ludzi nie udało się tego skarbcza ograbić, a zmarli zabierali jego tajemnicę do grobu. Tak więc John Thornton, Pete i Hans z Buckiem oraz sześcioma innymi psami ruszyli na Wschód po nieznanym szlaku w nadziei, że uda im się dokonać tego, czego nie potrafili dokonać ze swymi psami inni, nie gorsi od nich. Przejechali saniami siedemdziesiąt mil w górę Yukonu, skręcili w lewo, puścili się w górę rzeki Stewart, minęli Mayo i McQuestion i sunęli dalej, póki rzeka nie stała się krętym strumykiem pośród szczytów górskich, które stanowiły jakby kręgosłup kontynentu.

John Thornton nie miał wielkich wymagań ani w stosunku do ludzi, ani w stosunku do przyrody. Nie bał się dzikiego pustkowia.

Z garścią soli i strzelbą lubił zapuścić się w bezdroża i przebywać tam, gdzie chciał i jak długo chciał. Podróżując bez pośpiechu, polował zwyczajem Indian w czasie dziennego marszu, a gdy mu się łowy nie powiodły, szedł dalej, gdyż wiedział, jak to wiedzieli Indianie, że prędzej czy później musi trafić na zwierzynę. Toteż podczas tej wielkiej podróży na Wschód świeże mięso było głównym pożywieniem, większość ładunku stanowiła amunicja i narzędzia, a czas trwania wyprawy sięgał w nieznaną przyszłość.

Te polowania, połowy ryb, ta nie kończąca się wędrówka przez nieznanne okolice — wszystko to było dla Bucka źródłem bezgranicznej radości. Tygodniami, dzień po dniu, posuwali się wytrwale naprzód lub całymi tygodniami obozowali, stawiając szafasy w coraz to innym miejscu. Psy włóczyły się po okolicy, a mężczyźni zajmowali się przy ognisku przemywaniem nieskończonej ilości płuczek, pełnych gliny i żwiru z dołów, które wypalali w zmarzniętej ziemi. Czasem głodowali, a czasem ucztowali hałaśliwie, zależnie od obfitości zwierzyny i wyniku polowania. Lato nadeszło i psy, i ludzie z pakunkami na grzbiecie

przepływali na tratwach błękitne jeziora górskie, to znów w smukłych łodziach z wydrążonych pni płynęli w dół lub w górę rzek.

Miesiąc mijał za miesiącem, a oni wciąż krążyli po nieznanym, bezludnym kraju, w którym jednak ludzie musieli kiedyś przebywać, jeżeli legenda o Zaginionej Chacie była prawdziwa. Przekraczali wysoko położone działy wodne wśród śnieżnych zadymek, drżeli z zimna na pograniczu lasów i wiecznego śniegu, pnąc się po nagich skałach w blasku słońca świecącego o północy, (Spuszczali się do ciepłych dolin w chmury komarów i muszek i zbierali w cieniu pokrytych lodowcami szczytów górskich dojrzałe poziomki i kwiaty tak piękne, że mogłyby się nimi szczycić kraje Południa.

Jesienią weszli w upiorną krainę jezior, ponurą i milczącą, gdzie w ciągu lata gnieździło się dzikie ptactwo, lecz teraz martwą i bez śladu życia. Wiał tylko mroźny wiatr, osłonięte zatoczki pokrywały się lodem i smutno szumiały fale, łamiące się na odludnych brzegach.

I jeszcze jedną zimę przeżyli wędrując po zaginionych śladach ludzi, którzy niegdyś byli tu przed nimi. Raz natrafili na starą ścieżkę, wypaloną w puszczy, i wydało im się, że Zaginiona Chata jest już bardzo blisko. Lecz ścieżka, zaczynająca się niespodziewanie, urywała się nagle, a kto ją zrobił i dlaczego, pozostanie na zawsze tajemnicą. Innym razem natrafili na szczątki myśliwskiego szałas i wśród strzępów zbutwiałych koców Thornton odnalazł starą skałkówkę o długiej lufie. Wiedział, że taką broń dostarczało niegdyś myśliwym Północno - Zachodniego Kraju Towarzystwo Hudson Bay i że taka fuzja warta była wtedy tyle skórek bobrowych, ułożonych płasko jedna na drugiej, ile wynosiła wysokość samej fuzji. To było wszystko — żadnej wskazówki, kim był człowiek, który ongiś zbudował ten szałas i pozostawił swą broń pomiędzy kocami.

I znowu nadeszła wiosna. Nie znaleźli wprawdzie Zaginionej Chaty, ale za to u kresu swych wędrówek natrafili w szerokiej dolinie na złożę płytko położone i tak bogate, że przy pierwszych próbach dno płuczki wyglądało jak wypełnione żółtym masłem. Zaniechali dalszych poszukiwań. Każdy dzień pracy przynosił im tysiące dolarów pod postacią złotego piasku i bryłek, a pracowali dzień po dniu. Złoto pakowali w worki z łosiowej skóry, po pięćdziesiąt funtów każdy, a worki układali jeden na drugim obok szałas z gałęzi jodłowych, tak jak układa się zwykle drzewo na opał. Pracowali niestrudzenie, dni mknęły jedne za drugimi jak we śnie, a gromadzony przez nich skarb wciąż wzrastał.

Psy próżnowały i tylko od czasu do czasu musiały przywieźć upolowaną przez Thorntona zwierzynę. Buck spędzał długie godziny przy ognisku wpatrując się w płomienie, a w marzeniach coraz częściej widywał kosmatego człowieka o krótkich nogach i wędrował z nim po tym innym świecie, który pozostał mu w pamięci.

Wydawało mu się, że w tym innym świecie wszechwładnie panuje strach. Przyglądając się kosmatemu człowiekowi, gdy ów spał przy ognisku z głową wtuloną w kolana i z rękami splecionymi na głowie, Buck widział, że człowiek śpi niespokojnie, budzi się co chwila, spogląda trwożliwie w ciemność i dorzuca drew do ognia. Nawet gdy wędrowali razem nad brzegiem morza, gdzie kosmaty człowiek zbierał i jadł skorupiaki, oczy jego błędziły stale w poszukiwaniu ukrytego niebezpieczeństwa, nogi zaś gotowe były do błyskawicznej ucieczki. Przez las sunęli bezszelestnie. Buck tuż za człowiekiem, obaj czujni i ostrożni, wsłuchując się w każdy dźwięk i pilnie węsząc, gdyż człowiek miał słuch i węch równie dobry jak pies. Kosmaty człowiek umiał skoczyć na drzewo i posuwać się naprzód górą tak samo szybko jak po ziemi; przerzucał się na rękach z konaru na konar odległy nieraz

o kilkanaście stóp, puszczał się i chwycił gałęzi, nigdy nie chybiając celu. W istocie czuł się jednakowo dobrze na drzewach, jak i na ziemi, i Buck pamiętał noce spędzone na czuwaniu, podczas gdy kosmaty człowiek spał spokojnie na drzewie, nawet we śnie nie rozluźniając chwytu.

A zew, który wciąż rozbrzmiewał z głębi lasu, był ściśle związany z wizją kosmatego człowieka. Napędzał on Bucka wielkim niepokojem i dziwnymi pragnieniami. Wywoływał w nim nieokreślone, błogie uczucie, podniecenie i dziką tęsknotę za czymś nieznanym. Czasem biegł za tym wołaniem w głąb lasu, szukając go, jak gdyby było czymś namacalnym, naszczekując przyjaźnie lub wojowniczo, w zależności od nastroju wciskał nos w chłodny mech leśny lub w wysoką trawę, rosnącą na czarnej ziemi, i wdychał radośnie zapach żyznej gleby. Albo przez długie godziny czał się w ukryciu za omszałymi pniami powalonych drzew, trzymając oczy szeroko otwarte i nastawiając uszu, śledząc dookoła wszystko, co się poruszało lub wydawało dźwięki.: Być może leżąc tak, spodziewał się zaskoczyć wołanie, którego nie mógł pojąć. Nie wiedział jednak, po co to wszystko robi. Czuł się do tego zmuszony i więcej o tym nie myślał.

Czasami ulegał przemożnym podnieciom. Leżał w obozie, drzemiąc leniwie w upalne południe, gdy nagle głowa jego unosiła się sama, uszy nastawiały czujnie, wreszcie zrywał się i pomykał przed siebie, pędząc godzinami przez gąszcze leśne i polany pokryte kępami traw. Lubił gnać łożyskami wyschniętych, strumieni i skradając się podpatrywać życie ptaków w lesie. Potrafił niekiedy cały dzień przeleżeć w gęstwinie, skąd obserwował nawołujące się i dumnie paradujące kuropatwy.

Lecz najbardziej lubił biec w poświacie letnich nocy, słuchając stłumionych, sennych głosów lasu, odczytując poszczególne dźwięki, tak jak człowiek czyta książki. Poszukiwał wciąż tajemniczego wołania, które wzywało go nieustannie do siebie, we śnie i na jawie.

Pewnej nocy zerwał się ze snu z błyszczącymi oczami, węsząc niespokojnie, z sierścią jeżącą się co chwila na grzbiecie. Z lasu szedł zew, a właściwie tylko jeden z jego tonów, gdyż zew miał ich wiele. Był wyraźny i głośny jak nigdy dotąd — długie, przeciągłe wycie podobne do głosu psa husky, a jednak zupełnie inne. Znał je dziwnie dobrze, jak głos z dawna słyszany. Opuścił pogrążony w śnie obóz i cicho pomknął przez las. Gdy zbliżył się do głosu, zwolnił i zaczął wykonywać każdy ruch z wielką ostrożnością, aż doszedł do polanki w głębi puszczy. Ujrzał tam smukłego wilka leśnego, który siedział z pyskiem wzniesionym ku niebu.

Chociaż podchodził bezszelestnie, wilk zamilkł, jak gdyby czując jego obecność. Buck wyszedł na otwartą przestrzeń na wpeł pełzną, wszystkie mięśnie miał naprężone, a ogon sztywno wyprostowany, gdy tak sunął z niezwykłą ostrożnością. Każdy ruch był jednocześnie groźbą i zachętą do przyjaźni. Było to pełne napięcia zawieszenie broni, zwykle przy spotkaniach żerujących drapieżników. Ale na jego widok wilk rzucił się do ucieczki, a Buck skoczył za nim sadząc wielkimi susami — tak bardzo pragnął go dogonić. Zagnał wilka do wyschniętego łożyska strumienia, skąd nie było wyjścia, gdyż zwalone drzewa zagradzały drogę. Wilk wykonał gwałtowny obrót na tylnych łapach, tak jak robił Joe i wszystkie osaczane husky, warcząc, jeżąc sierść i kłapiąc raz po raz zębami.

Buck nie zaatakował go, lecz krążąc dookoła, zbliżał się coraz bardziej i okazywał przyjazne zamiary. Wilk jednak był podejrzliwy i wystraszony, gdyż Buck ważył trzy razy więcej od niego i był znacznie wyższy. Skorzystawszy z pierwszej sposobności wilk rzucił się do ucieczki i pościg rozpoczął się na nowo. Wilk był widocznie osłabiony, bo Buck doganiał go z łatwością, i cała scena powtarzała się od nowa. Wilk umykał, dopóki Buck nie znalazł się tuż obok niego, wtenczas wykonywał gwałtowny obrót i osaczony znów uciekał, gdy tylko nadarzyła się sposobność. Lecz w końcu wytrzymałość Bucka została nagrodzona, bo wilk, czując, że nic mu nie grozi, nabrał odwagi i dotknął nosem nosa Bucka. Przyjaźń została zawarta i zaczęli się bawić w ten nerwowy, niezbyt poufały sposób, jakim dzikie zwierzęta pokrywają swoją dzikość. Po pewnym czasie wilk ruszył spokojnym kłusem, okazując wyraźnie, że dokądś zmierza. Dał Buckowi do zrozumienia, że ma mu towarzyszyć, i pobiegli obok siebie w półmroku, prosto w górę wąwozu, skąd wypływał potok, i dalej przez nagą przełęcz, gdzie brał on swój początek.

Zbiegli po przeciwnym zboczach działu wód na równinę pokrytą wielkimi lasami i poprzecinaną licznymi strumieniami. Przez długie godziny przemierzali wytrwale te lasy, a tymczasem słońce wznosiło się coraz wyżej i dzień stawał się coraz gorętszy. Buck był dziko szczęśliwy. Czuł, że wreszcie idzie naprzeciw tajemniczemu wołaniu i że pędząc przy boku swego leśnego brata, dąży do miejsca, skąd rozbrzmiewał zew. Dawne wspomnienia

ogarniały go i podniecały, tak jak podniecały go niegdyś przeżycia, których te wspomnienia były cieniem. Już raz przeżywał to samo, gdzieś w owym innym, omal zapomnianym świecie, a teraz przeżywa to znowu, biegnąc wolny przed siebie, mając dziewiczą ziemię pod nogami i bezmiar nieba nad głową.

Przystanęli wreszcie nad potokiem, aby napić się wody, a wtedy Buck nagle przypomniał sobie o Johnie Thorntonie. Usiadł. Wilk ruszył sam w kierunku miejsca, skąd zew niewątpliwie pochodził, po chwili jednak wrócił do Bucka i trącając go nosem starał się zachęcić do dalszej wędrówki. Lecz Buck zawrócił i ruszył z wolna swoim śladem. Niemal przez godzinę dziki brat towarzyszył mu skomląc z cicha. Potem usiadł, podniósł łeb i zawył. Było to wycie pełne smutku i Buck, który wciąż biegł przed siebie, słyszał je długo. Słabło coraz bardziej i wreszcie zamilkło w oddali.

John Thornton jadł właśnie obiad, gdy Buck wpadł do obozu i rzucił się na niego w szale radości, przewracając go, skacząc na niego, liżąc mu twarz i gryząc ręce. — Oszalał czy co? — zawołał Thornton, potrząsając Buckiem i przeklinając go czule.

Przez dwa dni i dwie noce pies nie oddalił się ani na chwilę z obozu i nie spuszczał pana z oczu. Chodził za nim krok w krok podczas pracy, pilnował go w czasie posiłków, był przy nim, gdy zawijał się w koce z wieczora i. gdy wysuwał się z nich rano. Ale po dwóch dniach zew puszczy zaczął wołać go znowu z jeszcze większą natarczywością. Niepokój Bucka powrócił. Nawiedzały go wspomnienia pogodnego kraju za przełęczą, leśnego brata i wspólnego biegu poprzez bezmiary dzikiej puszczy. Znow rozpoczął wędrówki po lasach, ale leśny brat nie pojawił się więcej. I chociaż czuwał przez długie godziny, nigdy nie usłyszał już jego wycia pełnego smutku.

Zaczął nocować w lesie i spędzać po kilka dni poza obozem. Raz nawet przeszedł przez przełęcz u źródeł potoku do krainy lasów i strumieni. Pozostał tam przez tydzień, na próżno szukając świeżych śladów dzikiego brata, polując na zwierzynę w ciągu tych wędrówek, biegnąc lekkim, swobodnym kłusem, który zdawał się nigdy go nie męczyć. Łowił łososie w szerokim strumieniu, płynącym gdzieś ku morzu, a w pobliżu tego strumienia zabił dużego czarnego niedźwiedzia, w chwili gdy pędził przez las oszalały i bezsilny, oślepiiony przez komary podczas łowienia ryb. Walka była ciężka i obudziła w Bucku resztę uspiętej dotąd drapieżności. W dwa dni później, gdy powrócił do swojej zdobyczy i zastał przy niej z tuzin rosomaków kłócących się nad łupem, rozpędził je na cztery wiatry. A dwa, które nie zdążyły uciec, kłócić się już więcej nie mogły.

Żądza krwi opanowała go silniej niż kiedykolwiek dotąd. Stał się groźnym drapieżcą żerującym na żywych stworzeniach. Samotny, zdany tylko na własną siłę i zręczność, potrafił

utrzymać się przy życiu we wrogim otoczeniu, w którym wyżyć mogli tylko najsilniejsi. Nabral wielkiej dumy i pewności siebie, co odbiło się także na jego wyglądzie. Przejawiło się to we wszystkich jego ruchach, w grze każdego mięśnia, w całym zachowaniu, w tym, że jego piękne futro stało się — jeśli to było możliwe — jeszcze piękniejsze. Gdyby nie odrobina brązowej sierści na pysku i nad oczami i nie biała łąta biegnąca wzdłuż piersi, można by go było wziąć za olbrzymiego wilka, większego od największych przedstawicieli tego rodu. Po ojcu, bernardzie, odziedziczył wielkość i wagę, ale matce zawdzięczał kształty. Pysk jego. był długim wilczym pyskiem, większym jednak niż pysk wilka, a łeb, choć nieco szerszy — wilczym łbem ogromnej wielkości.

Chytrość jego była chytrą wilczą, inteligencja — inteligencją owczarka i bernarda, a wszystko w połączeniu z doświadczeniem zdobytym w najcięższej szkole zrobiło z niego najpotężniejsze ze zwierząt wędrujących po dzikich ostępach Północy. Był drapieżnikiem żyjącym tylko mięsem, w pełni rozkwitu sił życiowych, kipiącym od nadmiaru siły i dzielności. Gdy Thornton przesunął w piśszczocie rękę po jego grzbiecie, szły za nią lekkie trzaski, a przy dotknięciu z każdego włosa sypały się iskierki. Każda cząstka jego mózgu i ciała, każdy nerw i każda tkanka doszły do najwyższej sprawności, a jednocześnie były ze sobą idealnie zharmonizowane. Na wszystko, co widział i słyszał, na wszystko, co wymagało działania, reagował z błyskawiczną szybkością. Chociaż pies husky potrafił nadzwyczaj szybko skoczyć do ataku lub obrony, Buck potrafił skoczyć dwa razy szybciej. Gdy dostrzegł ruch lub słyszał dźwięk, reagował, zanim jeszcze inne psy zdążyły coś zobaczyć lub usłyszeć. Odbiór wrażenia, zrozumienie i reakcja — te trzy zjawiska następowały jedno po drugim, ale tak szybko, że wydawały się jednoczesne. Mięśnie jego przepelnione żywotnością działały jak stalowe sprężyny. Życie płynęło w nim pełnym strumieniem, szczęśliwe i bujne, aż zdawało się, że w ekstazie rozsadzi go i zaleje otaczający świat.

— Nigdy nie widziałem takiego psa — powiedział Thornton pewnego dnia, gdy wraz z towarzyszami patrzył, jak Buck opuszcza obóz.

— Forma, z której został odlany, musiała się potem rozbić — odrzekł Pete.

— Do diabła, i ja tak myślę — potwierdził Hans.

Widzieli go, jak opuszczał obóz, ale nie mogli widzieć gwałtownej i przerażającej zmiany, jaka w nim następowała, gdy tylko pogrązał się w gęstwinie lasu. Już nie szedł zwyczajnie. Stawał się od razu dzikim zwierzęciem przemykającym bezszelestnie jak kot, przelotnym cieniem, który ukazywał się i znikał wśród cieni. Umiał wykorzystać każdą zasłonę, pełznąć na brzuchu jak wąż i jak wąż rzucić się i uderzyć. Wiedział, jak złapać pardwę w gnieździe, zabić śpiącego królika i chwycić małe wiewiórki, gdy przeskakiwały z

gałęzi na gałąź. Ryby w jeziorach nie były dla niego za szybkie ani bobry naprawiające swoje groble — za ostrożne. Zabijał, żeby jeść, nie dla samej przyjemności zabijania. Ale wolał jeść to, co sam zabił. Czyny jego nie pozbawione były humoru; na przykład cieszyło go, gdy zaczaiwszy się na wiewiórki miał już je nieomal w pysku, a potem pozwalał tym stworzeniom, skrzeczącym ze strachu, umykać na wierzchołki drzew.

Z nadejściem jesieni zeszyły powoli z gór stada łosi, aby przebyć zimę w niższej położonych i cieplejszych dolinach. Buck pokonał już raz dorastającego byczka, ale pragnął spotkania z większym i groźniejszym przeciwnikiem. Trafił na niego pewnego dnia na przełęczy u źródeł potoku. Stado złożone z dwudziestu łosi przywędrowało z krainy lasów i strumieni, prowadzone przez potężnego byka. Mierzył przeszło sześć stóp w kłębie, a że był przy tym mocno rozdrażniony, mógł nawet dla Bucka stać się nadto niebezpiecznym przeciwnikiem. Potrząsał groźnie wspaniałymi łopatkami o czternastu odgałęzieniach i o rozpiętości siedmiu stóp. Na widok Bucka ryknął wściekle, a jego małe oczka zapłonęły wrogą złośliwością.

W boku łosia, obok łopatki, tkwiła pierzasta strzała, która była przyczyną jego rozdrażnienia. Buck, kierowany instynktem pozostałym z dawnych polowań w zamierzchłych czasach, starał się oddzielić byka od stada. Nie było to łatwe zadanie. Szczekał i tańczył przed nim, tuż poza zasięgiem wielkich łopat i strasznych rozplaszczonych racic; jedno ich uderzenie mogło pozbawić go życia. Łoś nie mógł z obawy przed kłami psa zawrócić i uciec i miotał się w bezsilnej wściekłości. Nacierał więc na Bucka, który wycofywał się chytrze, udając, że nie może przed nim uciec. Ale gdy w ten sposób łoś oddalał się od stada, kilka młodszych byków zaczynało także atakować Bucka i umożliwiało rannemu przyłączenie się do stada.

Znana jest cierpliwość dzikiego świata — wytrwała, niestrudzona, uparta jak samo życie. Cierpliwość, która utrzymuje w bezruchu przez długi szereg godzin pająka na pajęczynie, zwiniętego węża i panterę w zasadzce. Cierpliwość ta jest cechą szczególną życia, gdy poluje na inne życie. Cechowała ona i Bucka, gdy trzymał się uparcie stada, opóźniając jego marsz, drażniąc młode byki, niepokojąc krowy z na wpół dorosłymi cielętami, doprowadzając starego łosia do szału bezsilnej wściekłości. Trwało to przez pół dnia. Buck dwoił się i troił, nacierał zaciekle i zagrażał niespodziewanie ze wszystkich stron, odcinając ofiarę od stada, ilekroć zdołała się do niego przyłączyć, wyczerpując cierpliwość, która mniejsza jest u zwierząt ściganych niż u ścigających.

U schyłku dnia, gdy słońce zaszło na północnym zachodzie (powróciły już ciemne, jesienne noce i trwały przez sześć godzin), młode byki coraz niechętniej przychodziły z pomocą osaczonemu przywódcy. Nadchodząca zima gnała je ku nizinom i obawiały się, że

już nigdy nie pozbędą się tego niestrudzonego napastnika, który je zatrzymywał. Przy tym zagrożone nie było ani życie stada, ani życie młodszych byków. Chodziło tylko o życie jednego spośród nich, które było im mniej bliskie niż ich własne życie, toteż nadeszła wreszcie chwila, kiedy gotowe były ponieść tę ofiarę.

Gdy zmrok zapadł, stary łoś stanął z opuszczonym łbem i patrzył, jak krowy, które pokrywał, cielęta, które splodził, i byki, nad którymi przewodził, sunęły szybkim krokiem w gasnącym świetle dnia. Nie mógł się do nich przyłączyć, gdyż przed nim harcował bezlitosny potwór o groźnych kłach, który nie pozwalał mu ruszyć się z miejsca. Ważył przeszło tysiąc trzysta funtów, przeżył długie, wspaniałe życie pełne walk i potyczek, a oto teraz groziła mu śmierć od kłów stworzenia, którego łeb nie sięgał jego grubo wiązanych kolan.

Odtąd ani dniem, ani nocą Buck nie opuścił już swojej ofiary. Nie dał jej jednej chwili wytchnienia, nie pozwolił skubnąć listka z drzewa, pędów młodej brzoźki czy wierzby. Nie dał rannemu bykowi zaspokoić palącego pragnienia w małych strumykach, przez które przechodzili. Często w rozpacz łoś rzucał się do ucieczki. Wtedy Buck nie próbował go zatrzymać, lecz biegł bez wysiłku tuż za nim, zadowolony z takiego przebiegu wypadków. Kładł się na ziemi, gdy łoś przystawał, ale atakował go zajadle, gdy próbował jeść lub pić.

Wielki łeb pochylał się pod ciężarem potężnych rogów, a niezgrabny trucht stawał się bardziej ociążały. Łoś odpoczywał coraz dłużej z pyskiem opuszczonym ku ziemi, z bezwładnie zwisającymi uszami, a Buck znajdował sam coraz więcej czasu na picie wody lub krótki odpoczynek. W takich chwilach, gdy ciężko dysząc, z wywalonym czerwonym językiem obserwował byka, wydawało mu się, że coś dziwnego zaczyna się dzieć w otaczającym go świecie. Czuł jakieś poruszenie w leśnej krainie. Wraz z nadejściem łośi napływać zaczęły inne stworzenia. Łasy, wody i powietrze tętniły ich obecnością. Świadomość tego dotarła do Bucka nie poprzez wzrok czy słuch, czy węch, lecz poprzez inny, jakiś bardziej subtelny zmysł. Nie słyszał nic, nie widział nic, a jednak czuł, że puszcza stała się inna, że dzieją się w niej i dojrzewają jakieś dziwne sprawy. Buck postanowił zbadać je, gdy ukończy swe obecne zadanie.

Wreszcie u schyłku czwartego dnia powalił olbrzymiego łośa. Cały dzień i całą noc pozostał przy zdobyczy, jedząc i śpiąc, śpiąc i jedząc na przemian.

Nazajutrz znów, silny i wypoczęty, ruszył do obozu, do Johna Thorntona. Biegł długim, swobodnym kłusem, biegł tak całymi godzinami; wybierał właściwą drogę, prowadzącą wprost do obozu poprzez nie znaną mu okolicę, z nieomylnością, która zawstydzić by mogła człowieka z kompasem w ręku.

Biegąc, odczuwał coraz wyraźniej, że wokół dzieje się coś nowego. Cała okolica tętniła życiem, życiem innym niż to, które istniało tu w lecie. Fakt ten nie dochodził już teraz do jego świadomości w ów dziwny, nieuchwytny sposób. Świergotały o tym ptaki, gaworzyły wiewiórki, szeptał wiatr. Buck wielokrotnie przystawał i głęboko wdychał świeże powietrze poranka, odczytując w nim wieść, która skłaniała go do jeszcze szybszego biegu. Gnębiło go przecucie nadchodzącego nieszczęścia lub może nieszczęścia, które już nastąpiło. A gdy przekroczył ostatni dział wód i zbiegł w dolinę, w której rozbity był obóz, zaczął posuwać się naprzód z większą ostrożnością.

Trzy mile przed obozem natknął się na świeży ślad, a gdy go poczuł, sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Ślad prowadził wprost do obozu, do Johna Thorntona. Buck pomknął naprzód szybko, ale zarazem ostrożnie, z nerwami napiętymi do ostateczności, czujny na liczne drobiazgi, które zdradziły mu wszystko — prócz zakończenia. Węchem wyczuł rozmaite szczegóły dotyczące żywych istot, po których tropie się posuwał. Spostrzegł brzemienne ciszę panującą w puszczy. Życie ptasie zamarło. Skryły się wiewiórki. Buck dostrzegł tylko jedną z nich — lśniące, popielate stworzonko, przytulone do szarego, martwego konaru tak, że wyglądało jak narośl na drzewie i tworzyło z nim jedną całość.

Gdy tak sunął niepostrzeżenie jak cień, nagle z boku uderzył go w nozdrza jakiś zapach. Skręcił gwałtownie, jak gdyby jakaś niewidzialna siła chwyciła go i pociągnęła w tę stronę. Ruszył kierując się węchem i w zagajniku znalazł Niga. Leżał martwy na boku tam, dokąd dowlókl się przed śmiercią, przeszyty na wylot pierzastą strzałą.

O sto jardów dalej Buck natrafił na jednego z psów zaprzęgowych, zakupionych przez Thorntona w Dawson. Pies leżał na ścieżce i rzucał się w agonii, a Buck ominął go i pobiegł dalej. Z obozu dochodził ledwo dosłyszalny dźwięk licznych głosów, wznoszących się i opadających w monotonnym śpiewie. Pełznąc do skraju polany Buck natknął się na Hansa leżącego twarzą do ziemi i tak nadzianego strzałami, że przypominał jeżozwierza. W tej samej chwili Buck spojrział w kierunku, gdzie stał jodłowy szałas, i to, co zobaczył, zjeżyło mu w okamgnieniu sierść na grzbiecie. Ogarnęła go niepokohamowana wściekłość. Nie wiedząc o tym, zawarczał głośno, z nieposkromioną dzikością. Po raz ostatni w życiu pozwolił, aby gniew zapanował nad chytrą i rozwagą, gdyż stracił głowę z wielkiej miłości do Thorntona.

Yeehatowie wykonywali zwyczajny taniec dookoła zburzonego szałas, gdy nagle usłyszeli przerażające warczenie i zobaczyli pędzące na nich zwierzę, jakiego nigdy dotąd nie widzieli. Był to Buck — uosobienie furii — który rzucił się na nich w morderczym szale. Skoczył na najbliższego człowieka, a był to wódz Yeehatów, i rozszarpał mu gardło tak, że z

rozdartej tętnicy trysnęła fontanna krwi. Nie zatrzymał się nad swoją ofiarą, lecz w następnym skoku rozdarł gardło drugiego człowieka. Nie było przed nim obrony. Wpadł w sam środek tłumu, rwąc, szarpiąc i niszcząc. Nieustanny szaleńczy ruch chronił go od strzał, które na niego wypuszczano. Ludzie tak byli stłoczeni, a ruchy Bucka tak niezwykle szybkie, że Indianie zabijali się wzajemnie strzałami; młody wojownik, który zamierzył się na Bucka dzidą, trafił nią w pierś innego wojownika z taką siłą, że grot przeszedł na wylot, przebijając mu skórę na plecach. Wówczas Yeehatów ogarnął popłoch, zaczęli uciekać w przerażeniu do puszczy, a ucieczkę tę tłumaczyli objawieniem się Złego Ducha.

Istotnie Buck stał się wcieleniem szatana i szalał w pościgu za pędzącymi przez las, powalając ich jednego po drugim, tak jakby powalał jelenie. Był to dzień klęski dla Yeehatów. Rozbiegli się po całej okolicy i dopiero po tygodniu pozostali przy życiu członkowie plemienia zebrali się w jednej z dolin i policzyli poniesione straty. Tymczasem Buck, znużony pościgiem, powrócił do spustoszonego obozu. Znalazł Peta owiniętego w koce, tak jak go zaskoczyła śmierć. Ślady rozpaczliwej walki, którą stoczył Thornton, były jeszcze świeże i Buck odczytał wężchem każdy szczegół tej walki idąc po śladach aż do samego brzegu głębokiego jeziora. Na brzegu, z łbem i przednimi łapami zanurzonymi w wodzie, leżała Skeet, wierna aż do ostatniej chwili. Samo jezioro, błotniste i zmacone przez prace przy przemywaniu złota, musiało ukryć głęboko na dnie zwłoki Johna Thorntona. Buck szedł bowiem jego śladem aż do wody, a żaden ślad z wody nie wychodził.

Cały dzień Buck siedział smutny nad jeziorkiem lub biegał niespokojnie po obozie. Znał śmierć jako ustanie ruchu, jako zniknięcie z życia istot żywych, i wiedział, że John Thornton nie żyje. Poczul w sobie wielką pustkę, jak gdyby głód, ale pustka ta sprawiała dotkliwy, nieustający ból i żadne pożywienie nie mogło jej wypełnić. Chwilami, gdy patrzył na trupy Yeehatów, zapominał o bólu i wtedy odczuwał wielką dumę — tak wielką, jakiej nigdy jeszcze nie zaznał. Zabił człowieka, najszlachetniejszą ze wszystkich zwierzyń, zabił pomimo prawa pięści i kłów. Z ciekawością obwąchiwał ciała. Tak łatwo dali się zabić. Trudniej było zabić jednego husky niż ich wszystkich. Nie wydaliby mu się w ogóle groźnymi przeciwnikami, gdyby nie ich strzały, dzidy i maczugi. Na przyszłość nie będzie się ich już obawiał, chyba że trzymać będą w ręku jedną z tych broni.

Nadeszła noc i księżyc w pełni wszedł wysoko ponad wierzchołki drzew, zalewając całą okolicę widmowym światłem. Z nadejściem nocy Buck, który siedział pogrążony w smutku nad jeziorkiem, poczul jakieś poruszenie w puszczy, inne niż poruszenie wywołane przejściem Indian. Wstał i zaczął węszyć, pilnie nasłuchując. Z daleka nadleciało ledwo dosłyszalne ostre szczeknięcie, a za nim cały chór podobnych głosów. Stopniowo szczek ten

zaczął się zbliżać i stawał się coraz głośniejszy. A Buck wiedział, że słyszał ten głos ongiś, w tym innym, zamierzczłym świecie, który przetrwał w jego pamięci. Wszedł na środek polany i nasłuchiwał. Był to zew, zew złożony z wielu tonów, bardziej kuszący i zniewalający niż kiedykolwiek. I jak nigdy dotąd Buck gotów był usłuchać tego wołania. John Thornton nie żył. Ostatnia więź była zerwana. Człowiek i jego prawa przestały go obowiązywać.

Ścigając żywe mięso, podobnie jak to było zwyczajem Yee hatów, stado wilków wyszło wreszcie z krainy lasów i strumieni i w ślad za wędrującymi łosiami wtargnęło do doliny Bucka. Na polanę, skąpaną światłem księżyca, wilki wpłynęły jak srebrzysty strumień. Na środku polany stał Buck, nieruchomy jak posąg, i czekał na ich przybycie. Wydał im się tak wielki i potężny, że przejęte grozą przystanęły i dopiero po chwili najśmielszy z nich odważył się go zaatakować. Buck odparł atak jak błyskawica, miażdżąc mu kark, po czym zastygł znów w bezruchu i nie zwracał więcej uwagi na wilka wijącego się w agonii. Trzy inne wilki skoczyły na niego jeden po drugim i jeden po drugim wycofywały się, krwawiąc obficie z rozplątanych gardzieli i barków.

To wystarczyło, żeby całe stado rzuciło się na niego w dzikim zamieszaniu i ścisku, oszołomione żądzą powalenia ofiary. Buckowi przyszła teraz z pomocą cała jego niezwykła szybkość. Obracając się na tylnych łapach, gryzł, ciął, jednocześnie i tu, i tam, bronił się, atakowany ze wszystkich stron, błyskawicznie zmieniając pozycję. By uniemożliwić jednak wilkom obejście go od tyłu, musiał wycofywać się krok za krokiem wzdłuż jeziora aż do wyschniętego łożyska potoku. Tam, cofając się po wysokim piaszczystym brzegu, dotarł do prostokątnego wgłębienia zrobionego przez poszukiwaczy złota, gdzie osłonięty z trzech stron mógł bronić się przed napastnikami.

A bronił się tak dobrze, że po pół godzinie wilki cofnęły się pokonane. Dyszały wywiesiwszy długie jęzory, a białe ich kły błyszczały groźnie w świetle księżyca. Niektóre pokładły się wyciągnąwszy łby i nastawiając uszy. Inne stały przyglądając się przeciwnikowi. Inne jeszcze chleptały wodę z jeziora. Jeden z wilków, długi, smukły, szary, zbliżył się ostrożnie, ale przyjaźnie. Buck poznał w nim dzikiego brata, z którym wędrował przez całą noc i cały dzień. Wilk zaskomlał cicho, a gdy Buck mu odpowiedział, dotknęli się nosami.

Wtedy stary, wychudzony wilczur, pokryty bliznami, zbliżył się do niego. Buck zamierzał warknąć, w końcu jednak obwąchał się z nim przyjaźnie, po czym stary wilk usiadł, wyciągnął pysk ku księżycowi i zaniósł się długim wilczym wyciem. Inne wilki mu zawtórowały. Nareszcie zew dotarł do Bucka bezpośrednio, z samego źródła. Buck usiadł i zawył. Gdy skończył, wszedł ze swej wnęki, a wilki stłoczyły się wokół niego i obwąchały go na wpół przyjaźnie, na wpół wrogo. Przywódcy szczeknęli nawołując stado i popędzili w

głęb lasu. Wilki ruszyły za nimi poszczekując chórem. A wśród nich biegł Buck, poszczekując jak one, przy boku swego leśnego brata.

Na tym właściwie kończy się historia Bucka. Minęło zaledwie kilka lat, gdy Yeehatowie zauważyli zmiany w rasie leśnych wilków. Widziano niektóre z nich z brązowymi łatami na łbie i pysku i z białym pasem biegnącym wzdłuż piersi. Ale bardziej niezwykle jest to, że Yeehatowie opowiadają o upiornym psie, który stoi na czele stada. Boją się go, gdyż przewyższa ich przebiegłością — okrada ich obozowiska w czasie surowej zimy, ogołaca pułapki ze zwierzyny, zabija psy i skutecznie stawia czoło najdzielniejszym łowcom.

Lecz z biegiem czasu opowieść staje się jeszcze straszniejsza. Są tacy myśliwi, którzy nie powracają z łowów, są tacy, których pobratymcy znajdują z okrutnie rozszarpanymi gardłami, a dokoła nich widnieją na śniegu ślady łap większe niż ślady wilka.

Jest taka dolina, do której nigdy nie schodzi plemię Yeehatów, wędrujących każdej jesieni w ślad za łosiami. I są takie kobiety, które smutnieją, gdy przy ognisku zaczyna się rozmowa o tym, jak się to stało, że Zły Duch obrał sobie siedlisko w tej dolinie.

Latem jednak ktoś odwiedza tę dolinę, ale o tym nie wiedzą Yeehatowie. Jest to potężny wilk o wspaniałym futrze, podobny, a jednak inny niż wszystkie wilki. Przybywa samotnie z pogodnej krainy lasów i strumieni i zatrzymuje się na polanie wśród drzew. Żółty potok piasku płynie tu ze zbutwiałych skórzanych worków i wsiąka w ziemię. Długie źdźbła trawy przebijają się przez ten potok, porasta go ziele, ukrywając jego blask przed promieniami słońca. Tu wilk przystaje w zamyśleniu, a zanim odejdzie, zanosi się długim, żalonym wyciem.

Nie zawsze jednak jest samotny. Gdy nadchodzą długie zimowe noce, a wilki w pogoni za zwierzyną schodzą ku dolinom, można go zobaczyć pędzącego na czele stada w bladym świetle księżyca lub w blasku zorzy polarnej. Mknie, olbrzymi wśród swych leśnych braci, śpiewając potężną gardzielą pieśń nowego życia, wspaniałą pieśń swojego stada.